Rok I

Nr. 1

# KILIŃSKI

NZR

PAMIĘTNIKI, OPISY
WSPOMNIENIA, BIOGRAFJE

STOWARZYSZENIE KILIŃCZYKÓW
I ENZETEROWCÓW

Rok I — Warszawa—Styczeń 1936 — Nr. 1

# KILIŃSKI

* * *

*Ruchu robotniczego w Polsce nie wolno i nie można utożsamiać z ruchem społecznym i politycznym innych krajów. Robotnik w państwach politycznie wolnych i niezależnych, budził się do życia społecznego pod wpływem krzywd społecznych i wyzysku kapitalistycznego, robotnik polski znosił ponadto krzywdy moralne ze strony władzy, która była dlań obca i wroga — nie jako instytucja kapitalistyczna, lecz jako przedstawicielka jarzma politycznego, jarzma nie jednej tylko klasy robotniczej, ale całego narodu.*

*Ruch robotniczy w Polsce wyrósł przedewszystkiem z prześladowań politycznych. Toć przecie i partje socjalistyczne, choć cementem łączącym je w całość organizacyjną było hasło międzynarodowej solidarności proletarjatu i walka z kapitalizmem, mogły istnieć w Polsce tylko na podłożu walki z caratem, który w pierwszym rzędzie uważany był za gnębiciela narodu a dopiero potem za prześladowcę klasy robotniczej. Wszakże na zbagatelizowaniu przez partje socjalistyczne nurtującej w duszach proletarjatu polskiego tęsknoty do wolności i niezależności narodowej, rodziły się w szeregach organizacyjnych bunty, doprowadzające do tak częstych rozłamów. Przecież Polska Partja Socjalistyczna dlatego rozbiła się na Lewicę i Frakcję Rewolucyjną, że hasło niepodległości narodowej było przez ówczesnych przywódców tej partji zwalczane.*

*Robotnik polski znajdował się zatem w całkiem odmiennych warunkach bytu, aniżeli robotnik innych krajów na Zachodzie. U nas nietylko wyzysk był motorem ruchu robotniczego, ale przedewszystkiem niewola polityczna narodu. Ta niewola była bodźcem pobudzającym robotnika do buntu, ta niewola wkładała broń do ręki wszystkim, którzy występowali zbrojnie przeciwko caratowi. Ta niewola była przeszkodą dla socjalizmu do całkowitego opanowania polskiej klasy robotniczej i skierowania buntu w łożysko ruchu wyłącznie klasowego. Ta nie-*

*wola była fundamentem, na którym zrodził się i wyrósł narodowy ruch robotniczy w partji noszącej nazwę Narodowy Związek Robotniczy.*

*Każdy znany nam ruch robotniczy w jakimkolwiek innym kraju, byt swój opierał wyłącznie na podłożu materjalistycznem, do N. Z. R. przychodzili ludzie, zupełnie nie myśląc o zdobyczach materjalnych. Ideą przewodnią robotnika przystępującego do N. Z. R. była wolność narodowa, niepodległość Polski. Dla dobra całego narodu szedł robotnik w szeregi organizacyjne N. Z. R., nie dla dobra tylko swej klasy. Ileż tu mieści się bogactwa duchowego, jakaż tu siła i moc do ugruntowania w klasie robotniczej wartości społecznych, które niszczone były, z jednej strony przez materjalistyczny socjalizm, z drugiej przez niektórych działaczów narodowych, którzy zbyt mało te wartości w duszy robotnika dostrzegali i doceniali.*

*N. Z. R. nie powstał z niczego i nie walka z socjalizmem skłoniła ówczesnych działaczów narodowych do powołania do życia tej organizacji. N. Z. R. wprawdzie powstał w 1905, gdy w Rosji wybuchła rewolucja i kraj nasz zalewała fala strajków, ale przecież narodowy ruch robotniczy kiełkował i rósł od kilku lat przedtem w kółkach patrjotycznych robotniczych, które na tajnych zebraniach słuchały wykładów prelegentów z Towarzystwa Oświaty Narodowej. Działalność tych kółek ograniczała się wprawdzie tylko do akcji oświatowej, była to jednak oświata zakazana przez władze; robotnicy na zebraniach kółkowych kształcili się w poznawaniu dziejów ojczystych, wyrabiając się społecznie. Powstanie z tych kółek N. Z. R. było już tylko konsekwencją wypadków, które tak samo ułatwiły w tym czasie rozrost organizacyj socjalistycznych.*

*Tak wygląda prawda historyczna i twierdzenie, że N. Z. R. powołany został do życia li tylko w celu niedopuszczenia do opanowania przez socjalizm klasy robotniczej w Polsce, musi być zaliczone do kategorji argumentów niepoważnych. Inna rzecz, że N. Z. R. stanął na drodze socjalizmowi i uchronił proletarjat polski od deprawacji międzynarodowej, ale to już były skutki, nie zaś przyczyny. N. Z. R. powstał dlatego, że robotnik polski żył w niewoli politycznej jako cząstka narodu polskiego i o zniszczenie tej niewoli walczył.*

*Gdy ta niewola przestała istnieć i robotnik z całym narodem uzyskał niepodległość i własne państwo, czyli główny cel N. Z. R. został osiągnięty, partja ta przekształciła się w inny twór organizacyjny, którego losy nas tutaj nie obchodzą. Jesteśmy grupą b. enzeterowców i b. kilińczyków i chcemy zachować w historji choć cząstkę naszego istnienia organizacyjnego. Chcemy o naszych dziejach mówić sami, bo inni albo o nas milczą, albo gdy mówią — kłamią. Istnieją wprawdzie do-*

*kumenty historyczne w postaci naszych wydawnictw nielegalnych, ale same akta i dokumenty jeszcze wszystkiego nie powiedzą. Nikt zresztą tych akt i dokumentów nie segregował, nie zbierał jawnie, było to bowiem niebezpieczne, grożące więzieniem lub katorgą. Może w niektórych instytucjach, bibljotekach lub urzędach dokumenty te są przechowywane i historycy mają do nich dostęp, ale czyż ludzie, nie stykający się z ruchem politycznym i społecznym N. Z. R. mogą zgłębić istotę naszego ruchu tak, aby pracy enzeterowskiej nie stała się krzywda? Nawet przy dobrej woli, o którą tak trudno, gdy wnika się w historję. Mamy tego liczne przykłady w ukazujących się dość często publikacjach historycznych, gdzie albo się o N. Z. R. nie wspomina, albo mówią o tej organizacji ludzie z obozów nam wrogich i, rzecz oczywista, czynią to w sposób złośliwy, napastliwy.*

*Nie możemy dopuścić, aby narodowy ruch robotniczy, który tak wielką odegrał rolę w historji klasy robotniczej polskiej i dość ważką w dziejach walki o niepodległość ojczyzny, został pogrzebany, lub, co gorsza, przedstawiony w fałszywem świetle. Nie możemy pozwolić, aby o N. Z. R. pisali ci, którzy jego działalność zwalczali. Jeśliby nawet ktoś miał jaknajlepsze intencje i starał się być jaknajbardziej objektywnym, a w czasach istnienia N. Z. R. nie trwał w jego szeregach i nie brał udziału w jego działalności, nie mógłby odtworzyć jego dziejów, nie docierał bowiem do wydarzeń i faktów po naszej stronie okopów walki społecznej i politycznej. Czerpanie materjału li tylko z naszych wydawnictw nielegalnych ówczesnych czasów, nie może być materjałem dostatecznym do odtworzenia tych dziejów, wiele bowiem faktów i wydarzeń ze względów konspiracyjnych nie utrwalano na papierze, pozostały one tylko w pamięci żyjących jeszcze enzeterowców, mnóstwo zaś tych faktów umarło razem ze śmiercią wielu dziś już nieżyjących działaczów N. Z. R. Czy mamy jeszcze czekać i dopuścić, ażeby zginęła reszta? Przenigdy!*

*Mimo dzielącego nas niezbyt odległego, bo zaledwie trzydziestoletniego albo i mniej czasu od powstania i istnienia N. Z. R., mimo że żyje jeszcze pokolenie, które owe czasy pamięta, owe dni walk o wolność i niepodległość przedstawiane są fałszywie. Odtwórcy tych dziejów zbyt bezceremonjalnie odnoszą się do faktów historycznych, jakby liczyli na ludzką niepamięć i na brak odwagi do protestu. Fałszuje się historję naszych walk, czyniąc z socjalistów bohaterów narodowych, przedstawiając ich za jedynych czynnych uczestników walk o niepodległość, podczas gdy dobrze pamiętamy ich wyśmiewanie się z „białej gęsi", ich drwiny w fabrykach z patrjotyzmu enzeterowców, ich ośmieszanie Polski na wiecach robotniczych, ich dowodzenia, że robotnik pol-*

*ski jest bratem robotnika innych krajów i jedyną jego wiarą powinna być międzynarodowa solidarność proletarjatu. Dzisiaj przedstawia się nam filmy, jak to w walce o szkolę polską młodzież nasza pod sztandarami z białym orłem śpiewa pieśń „Na barykady". Gdzie to i kiedy ci, co stawali pod sztandarem orła białego śpiewali pieśni międzynarodowe? Albo gdzie i kiedy ci, co śpiewali „Na barykady", mieli na swym sztandarze białego orła? Jakież to wszystko dalekie od rzeczywistości.*

*Dlatego przystępujemy do zbierania i publikowania materjałów historycznych, tyczących działalności N. Z. R. i tych wszystkich kół patrjotycznych i organizacyj, które poprzedziły jego istnienie. Zdajemy sobie sprawę, że odtworzenie dziejów narodowego ruchu robotniczego wymaga długich lat pracy, ale wiemy i o tem, że czas ucieka, ludzie wymierają i odkładanie tej pracy do chwili całkowitego zebrania materjału o faktach i wydarzeniach historycznych może przynieść tylko szkodę, bowiem wiele przyczynków do naszych dziejów enzeterowskich zginie we mgle zapomnienia. Dlatego przystępujemy do wydania drukiem materjału historycznego N. Z. R. w formie opisów, pamiętników i wspomnień poszczególnych enzeterowców i kilińczyków, jak również prac oświetlających dzieje tej partji w miarę jak będą one wpływały do Komisji Historycznej przy Stowarzyszeniu Kilińczyków i Enzeterowców i dokumentami sprawdzanych, a przyszły historyk niechaj z tego materjału czerpie jako ze źródła najbardziej miarodajnego, bo od ludzi, którzy w politycznym i społecznym narodowym ruchu robotniczym brali bezpośredni udział.*

*Ale to nie wszystko. Stowarzyszenie Kilińczyków i Enzeterowców liczy już dzisiaj ponad 1200 członków i stale ich przybywa. Życie Stowarzyszenia nabiera coraz wyrazistszego oblicza i w miarę swego rozwoju staje ono coraz częściej oko w oko z wypadkami doby obecnej. Jest tedy koniecznem, ażeby nasze sprawy stowarzyszeniowe znajdowały odzwierciadlenie w życiu publicznem, żeby o naszej dzisiejszej pracy wiedziało społeczeństwo. Działalność nasza jest wprawdzie ograniczona i zakreślona miarą statutu, niemniej ma ona niemałe znaczenie już choćby z tego względu, że nikt nie wie co może nastąpić jutro, a w sprawie przeszłości N. Z. R. może zdecydować o miejscu, jakie mu na swych kartach wyznaczy historja.*

*Dlatego przystępujemy do wydawania „Kilińskiego", w którym będziemy mogli uwzględnić i sprawy Stowarzyszenia, ale przedewszystkiem szpalty jego poświęcimy dziejom N. Z. R. Na dzieje te będą się składały opisy, pamiętniki, wspomnienia, biografje... Szpalty „Kilińskiego" będą otwarte dla każdego enzeterowca i kilińczyka, dla każdego.*

*kto o N. Z. R., lub o ruchu narodowym robotniczym w ogólności, jeśli będzie się to wiązało z N. Z. R., zechce zabrać głos. Nie określamy zgóry terminu ukazywania się „Kilińskiego", liczyć się bowiem musimy z warunkami materjalnemi, ale przewidujemy, że pismo nasze będzie się ukazywało w odstępach mniej więcej kwartalnych, a kto wie, może i częściej.*

---

Co mówił o N. Z. R. nasz wróg

# Z aktu oskarżenia grupy enzeterowców, sądzonych w lutym 1911 w Piotrkowie

*Z rękopisu dosiarczonego przez Antoniego Hilczera tłómaczył Franciszek Szczeblewski.*

„Wśród potajemnych organizacyj politycznych działających na terenie Przywiślańskiego kraju (w prediełach Prywislinskago kraja), jedno z pierwszych miejsc zarówno ze względu na ilość członków, jak i z uwagi na wpływ w szerokich warstwach polskiej ludności pracującej, zajmuje utworzona w 1905 r. organizacja pod nazwą: Narodowy Związek Robotniczy (Nacjonalnyj Raboczyj Sojuz).

Utworzony z inicjatywy przywódców polskiej Narodowej Demokracji i wyposażony od początku swego istnienia w specjalny program narodowo-demokratyczny, wspomniany wyżej związek uzależniony był początkowo od swej macierzy, stanowiąc jakby dalsze rozgałęzienie w szerokich warstwach klasy robotniczej.

Powyższa zależność trwa jednak niedługo. Naczelne hasło w programie związku: zdobycie niepodległego państwa polskiego — wolnej Polski Ludowej w granicach Historycznej Rzeczypospolitej Polskiej— „od morza do morza", (zawojewanje niezawisimago polskawo gosudarstwa — swobodnoj demokraticzeskoj Polszi w istoriczeskich granicach Rieczy Pospolitoj" — „od moria do moria"), ścisłe związanie z Kościołem katolickim, walka z międzynarodowemi tendencjami partyj socjalistycznych oraz ponadto krańcowy szowinizm w stosunku do wszystkiego co rosyjskie aż do podburzania do zniszczenia zbrojną ręką stających na przeszkodzie polskiemu separatyzmowi przedstawicieli rosyjskiej władzy, (krajnij szowinizm w otnoszenji wsiewo ruskawo wpłot do pryzywa k istreblenji wooružennoju rukoju stojawszich

na puti polskawo separatizma predstawitielej ruskoj własti), wszystko to razem wzięte zdobyło sobie sympatje polskiej ludności robotniczej. Po roku istnienia Narodowy Związek Robotniczy liczył w swoich szeregach 23 tysiące zorganizowanych robotników i rozporządzał trzema tajnemi perjodykami.

Świadomość wzrastającej siły Związku oraz według jego mniemania zanik rewolucyjności Narodowej Demokracji, było bodźcem do oderwania się Związku od Narodowej Demokracji.

W lipcu 1908 r. część Związku proklamowała swoją niezależność. Ponownie zorganizowany tajny organ „Walka", stwierdzając fakt dokonanego rozłamu, zawiadomił o powstaniu niezeleżnej frakcji Narodowego Związku Robotniczego, a po upływie dwóch miesięcy odbyty w Krakowie zjazd przedstawicieli Związku proklamował ostateczne oderwanie się Związku w pełnym składzie od Narodowej Demokracji i wydźwignięcie się na stopień niezależnej rewolucyjnej organizacji.

Motywy uchwały opublikowane 20 września 1908 r. w specjalnej odezwie głoszą co następuje:

Zjazd Narodowego Związku Robotniczego odbyty w Krakowie w dniach od 6 do 8 września 1908 r. po drobiazgowem i bezstronnem ocenieniu ruchu politycznego na ziemiach byłej rzeczypospolitej polskiej, przyjął poniższą uchwałę:

po 1-sze: narodowo demokratyczny kierunek głoszony w ciągu roku przez „Głos", „Przegląd Poranny" i „Polaka", które to pisma oficjalnie reprezentują sfery Narodowej Demokracji w 3 zaborach, zmienił swój charakter. Na miejsce pełnych dążeń do niepodległości i do rozszerzania wśród narodu idei państwowości polskiej, nastąpiła teraz legalna akcja narodowej demokracji w kierunku ugody z cudzą władzą i kupującej drobne narodowe korzyści kosztem idei niepodległości. Dowodem tej zmiany w poglądach i w akcji na zewnątrz jest bezczynność Ligi Narodowej 3 zaborów, ugodowość polityki Koła Polskiego w Petersburgu, ruch słowianofilski powstały z inicjatywy i pod kierunkiem Narodowej Demokracji oraz najnowsza literatura partyjna, w której hasło niepodległości kwalifikuje się do rzędu haseł moralnych, nie mających wpływu na realne dążenia narodu polskiego;

po drugie: Narodowy Związek Robotniczy przyjął za podstawę swej działalności hasło polskiej państwowości i z uwagi na to hasło nie chce mieć nic wspólnego z obecnym kierunkiem Narodowej Demokracji i będzie walczyć z wszelką ugodową polityką wobec Rosji. Wobec powyższego Związek postanawia zerwać stosunki ze wszystkiemi placówkami narodowo - demokratycznemi i ogłosić Narodowy Związek Robotniczy samodzielną organizacją polityczną.

Od tej chwili Związek wstąpił w szeregi organizacyj rewolucyjnych kraju Przywiślańskiego w charakterze niezależnej i samodzielnej partji politycznej. Jednak ta zmiana zewnętrznych warunków jego egzystencji nie spowodowała żadnych wybitniejszych zmian w jego programie i taktyce.

Już od chwili wspomnianej wyżej uchwały zjazdu krakowskiego widać, że bezwarunkowy cel Związku — oderwanie Królestwa Polskiego od Rosji i proklamowanie niepodległej państwowości po dawnemu stanowi jego polityczne „credo". Potwierdzenie tego faktu znajduje się w programowym artykule numeru 2-go wspomnianego wyżej organu partyjnego „Walka", mianowicie: dowodząc, że naród polski w chwili obecnej dorósł pod względem politycznym do samodzielnej egzystencji, artykuł przytacza następujące konkluzje:

„Żądamy wolnego, kulturalnego, ekonomicznego i politycznego rozwoju naszego narodu, któryby nie był zmieniany żadną siłą wewnętrzną. Warunek ten może być uzyskany przez naród tylko w drodze posiadania własnego narodowego państwa. Współczesny naród może egzystować tylko jako państwo i dlatego dążymy do powstania polskiego państwa w jego historycznych granicach. Nie zrzekając się na rzecz państw zaborczych ani jednej piędzi ziemi polskiej jako naturalnych ram rozwoju naszej państwowości w przeszłości, stwierdzamy, że najważniejsza część państwa polskiego zarówno w znaczeniu politycznem, jak i z uwagi na stosunki narodowościowe stanowi zabór rosyjski. Rosja była i jest w dalszym ciągu naszym najważniejszym wrogiem historycznym. Jej potęga wyrosła na gruzach Polski. Ona to w wieku XVII i XVIII przyczynia Polsce szereg śmiertelnych ciosów, ona była również głównym czynnikiem ostatecznego upadku i podziału Polski, paraliżując w samym zarodku wysiłki narodu Polskiego, zmierzające do ocalenia państwa od zguby. Wszystkie nasze zbrojne powstania w XIX wieku były skierowane przeciwko Rosji. Z drugiej strony do Rosji należy trzy czwarte naszego historycznego terenu i prawie dwie trzecie rdzennie polskiej ludności. Z tego wynika jasno, że dla powstania Polski musimy zwyciężyć i zniszczyć Rosję. W ostatnich czasach Narodowa Demokracja, pragnąc pchnąć naród polski w objęcia Rosji, stara się wmawiać naszemu społeczeństwu przekonanie, że głównym wrogiem narodu polskiego są Niemcy. Jest to nic więcej jak tylko krańcowe łgarstwo, z którem należy walczyć. Nie przeciw Niemcom lecz przeciw Rosji powinniśmy skierować największy wysiłek.

Wobec powstałego w ostatnich czasach ruchu słowianofilskiego, zakordonowy krakowski organ polskich narodowców „Polska" w arty-

kule opublikowanym w Nr. 1-ym w 1908 r. pisze: — Jeżeli Moskal ma być naszym bratem, to tylko chyba takim jak Kain. Jeżeli cenimy własną godność ludzką i jeśli nie staliśmy się jeszcze nikczemnymi spodlonymi niewolnikami, to na propozycje bratania się z Moskalami, powinniśmy odpowiedzieć: „umyjcie ręce ze krwi naszej, zwróćcie choć część tego coście nam wzięli". Słowianofilskie zbratanie się z moskalami to zdrada pamięci naszych ojców, którzy zginęli w boju za ojczyznę i naród.

Jeśli zagadnienie o ramach programu politycznego Narodowego Związku Robotniczego stanowił przedmiot sporu, a co za tem idzie, był powodem rozłamu, to wzamian zagadnienie o sposobach zrealizowania zasadniczego organizacyjnego celu — oderwania Królestwa Polskiego od Rosji — było od samego początku wyrażone wyraźnie i jasno i nigdy nie wywoływało żadnej wątpliwości (był stawlen opredielonno i jasno i nikogda nikakich somnienij nie wyzywał).

Zbrojne powstanie ludu polskiego — oto kamień węgielny programowej taktyki Narodowego Związku Robotniczego. Przygotowywanie warunków sprzyjających powstaniu, dezorganizacja i bojkot władz i urzędów, aby „zbrzydło życie na naszej ziemi moskiewskim biurokratom", organizowanie bojowych akdr, wywoływanie powstania w momencie największego osłabienia rosyjskiej władzy i przeprowadzenie tego powstania aż do proklamowania w końcu niepodległości Polski, to jest właśnie kierunek, dla którego w 1905 r. powstał Narodowy Związek Robotniczy. Że powyższe dążenia, które ożywiały Związek w ciągu jego działalności, nie uległy zmianie po oderwaniu się od Narodowej Demokracji, świadczy wspomniany wyżej artykuł programowy w organie partyjnym „Walka". Historja, powiedziane jest w nim, uczy nas, że żaden z podbitych narodów nie zdobył sobie niepodległości lub chociaż mniej lub więcej szerokiej autonomji taktyką ugodową. Niepodległość to nic innego, jak płód zbrojnej walki z państwami zaborczemi. Dążąc do zdobycia własnej państwowości — nie powinniśmy ani na jeden moment zapominać, że końcowym aktem naszej walki z państwami zaborczemi będzie zbrojne powstanie odpowiednio zorganizowane i przeprowadzone w sprzyjających warunkach politycznych.

W okresie ogólnej anarchji pojęć politycznych, gdy wskutek długotrwałego narodowego ujarzmienia, oraz nieskonsolidowanej działalności mnogich partyj narodowych, społeczeństwo polskie zaczyna zatracać ostatek zdrowych państwowotwórczego i politycznego instynktu, obowiązek zagadnienia powstania należy uczynić realnym, stawiając go na pierwszem miejscu życia narodowego.

Powinniśmy wykorzenić tlejącą w głębi dusz polskich bezmyślną apatję i tchórzliwość, zaszczepiając wzamian w świadomości narodowej tę prawdę historyczną, że wolność zdobywa się nie współczuciem, lecz orężem. Ten bezkompromisowy cel dążeń Związku reprezentującego polski lud roboczy bliski jest urzeczywistnienia „w przededniu zupełnego bankructwa zgangrenowanych urzędów carskich" i łącznie z tem jasno świecąca ideja zemsty za długotrwały ucisk czerwoną nicią snuje się w publikacjach wszystkich partyjnych organów, jak np. Kilińskiego, Pochodni, Głosu Robotnika, Głosu Ziemi Chełmskiej, Walki o polską szkołę, Polski i temu podobnych. Oto wyjątki z tej prasy: „nadejdzie czas, gdy tę samą broń, którą nam poniewoli wkładają do rąk, zwrócimy bagnetem w stronę zaborcy i z pieśnią na ustach pójdziemy w krwawy bój" — (Pochodnia Nr. 32 z 1906 r.). „Niechaj drży dziki syn północy, zbliża się dzień sądu. Krew ludu — to posiew niepodległości" (Kiliński Nr. 35 z 1906 r.). „Polski lud siermiężny oczekuje tylko wezwania, aby się rzucić do boju, zdeptać i zdruzgotać twoją moc, carze. Z nami ideja, męstwo i wiara. Ty, Stołypinie, wraz z carem zginiesz za naszą krew i mękę" (Głos ziemi Chełmskiej Nr. 4 z 1908 r.). „Niechaj będzie przeklęty wróg, który łamie, depce i szarga nasze świętości, który prześladuje oświatę i przy pomocy ciemnoty stara się utrzymać w rękach władzę" (Polak Nr. 8 z 1907 r.). Wzamian „kiedy wyjdziemy z podziemi w odpowiednim momencie, wzmocnieni i odrodzeni na duchu, jakże słodka będzie dla nas wówczas otwarta walka i zemsta zaborcom" (Kiliński Nr. 5 z 1907 r.)".

*

W sprawie tej sądzeni byli: Paweł Urbaniak (7 lat katorgi i pozbawienie praw stanu), Antoni Bocian, Antoni Michałkiewicz i Bronisław Stodółkiewicz (po 4 lata katorgi i pozbawienie praw stanu), Henryk Malinowski, Klemens Karliński, Jan Sutorowski, Wacław Paszkowski, Józef Kaźmierczak, Jan Tagowski i Antoni Szadkowski (zesłanie i pozbawienie praw stanu), Wacław Wojewódzki, Franciszek Czaja, Antoni Zientalski i Edmund Bernatowicz (uniewinnieni).

Maksymiljan Brzeziński

# Dzielnica „Zielona" w Łodzi

## I

Organizacja enzeterowska w Łodzi podzielona była na dzielnice, jak zresztą wszędzie, gdzie znajdowały się większe skupienia robotnicze i gdzie N. Z. R. zdołał opanować masy. Przypada mi w udziale dzisiaj dać krótki opis dziejów jednej z takich dzielnic, którą nazwano „Zieloną". Nazwa ta pochodziła od nazwy dzielnicy. Kto zna Łódź, ten wie w której stronie tego miasta dzielnica ta się znajduje. Jest to dzielnica najbardziej robotnicza — jeśli miasto to można dzielić na dzielnice mniej lub więcej robotnicze. Dzielnica „Zielona" bogatsza jest w fabryki niż inne i dlatego tutaj ruch organizacyjny uwydatnił się może więcej niż w innych.

Pierwszym organizatorem narodowego ruchu robotniczego w tej dzielnicy był robotnik Antoni Chojak. Mieszkał przy ulicy Zakątnej 45. Pomocnikiem jego w nielegalnej robocie organizacyjnej był Stanisław Borkowski, zamieszkały przy ulicy Zielonej 48.

Już w 1903 dwaj ci ludzie zdołali zorganizować w dzielnicy „Zielonej" dwustu robotników, którzy związani byli z sobą dziesiątkami. Na czele każdej grupy stał dziesiętnik; Chojak i Borkowski byli setnikami czyli obsługiwali organizacyjnie po stu ludzi.

Do obowiązków setnika należało organizowanie nowych kół, odbieranie przysięgi od nowowstępujących członków, dostarczanie dziesiętnikom pism organizacyjnych nielegalnych i wogóle cała działalność kierownniczą. W pierwszych latach istnienia organizacji najbardziej znanem pismem nielegalnem był „Polak", wychodzący w Krakowie. Korzystano przytem z różnych broszur sprowadzanych z zagranicy i czytano je na zebraniach dziesiątek, które zazwyczaj odbywały się w niedzielę, gdy członkowie — robotnicy — mieli trochę więcej czasu i byli wolni od pracy. Na zebraniach tych pozatem setnicy informowali kolegów o bieżących sprawach politycznych, społecznych i organizacyjnych.

Dziesiętnicy mieli za zadanie dopilnowanie, ażeby wszyscy członkowie korzystali z nielegalnej literatury. Analfabetom — byli w owe czasy tacy we wszystkich robotniczych organizacjach — dziesiętnicy pisma te czytali i trudniejszą do zrozumienia treść objaśniali, jednem słowem uświadamiali ich. Zbierali pozatem składki czyli podatek partyjny, który stanowił wówczas kopiejkę od zarobionego rubla. Zda-

wali sprawozdania setnikom i przekazywali im pieniądze, które szły do władz centralnych partji.

W sierpniu 1904 organizacja w dzielnicy „Zielonej“ liczyła już trzy setki. W tym czasie oddzielono młodzież od starszych i z młodzieży utworzono trzecią setkę, na której czele stanął jako setnik Maksymiljan Brzeziński, zamieszkały przy ulicy Zielonej 53.



Antoni Chojek

Mimo wielkiej ostrożności w przyjmowaniu nowych członków, organizacja rozwijała się bardzo szybko. Wstępowało do partji zwłaszcza wiele młodzieży robotniczej. Trzeba było wówczas urządzać zebrania w szerszem gronie, bowiem partja nie miała tylu zdolnych do wykładów wśród szeregów robotniczych prelegentów, którzy musieliby chodzić z zebrania na zebranie. To też setnicy urządzali wycieczki za miasto, co robiło się pod pretekstem t. zw. majówek. Na takich majówkach, po rozstawieniu odpowiednich straży na drogach, prowadzących do miejsca zabawy — zazwyczaj w lesie — wygłaszano przemówienia na najrozmaitsze tematy polityczne, społeczne i historyczne. Po majówce, a właściwie nielegalnem zgromadzeniu, uczestnicy wycieczki rozchodzili się do domów różnemi drogami, żeby nie wzbudzać podejrzeń strażników. W taki sposób prowadzona praca organizacyjna dotrwała do 1905.

W połowie tegoż roku z luźnych kół patrjotycznych robotniczych utworzył się Narodowy Związek Robotniczy, który w tym czasie był jeszcze organizacją podległą Narodowej Demokracji.

W styczniu 1906 Łódź podzielono na cztery dzielnice: Górną, Zieloną, Bałucką i Wodną. Na czele każdej dzielnicy stał inteligent przydzielony przez Zarząd Okręgowy. Inteligent ten był dzielnicowym wykładowcą. Dzielnica miała swój zarząd, do którego inteligent wykładowca wchodził z urzędu. Tak samo wchodził do zarządu kierownik dzielnicy czyli dzielnicowy.

W owych czasach ruch narodowy wśród robotników w Łodzi przybrał charakter masowy i dlatego trzeba było zreformować życie organizacyjne. Dotychczas na dziesiątki składali się robotnicy według osobistej znajomości. Kto kogo wciągał do roboty, tego zatrzymywał w swojej dziesiątce. Tym sposobem do poszczególnych dziesiątek wchodzili ludzie znający się bliżej i tylko to stanowiło węzeł łączności organizacyjnej członków.

Reforma polegała na utworzeniu kół fabrycznych. Zlikwidowano dziesiątki i setki i utworzono grupy fabryczne, na których czele stanęli przedstawiciele fabryk. Reforma objęła całą Łódź, we wszystkich fabrykach zakładano oddziały enzeterowskie; zamiast dziesiętników powołano na kierowników przedstawicieli fabryk, których obowiązki były takie same jak dotychczas dziesiętników. Wychodziło już wówczas kilka pism enzeterowskich w różnych okręgach partyjnych. Organem okręgu łódzkiego był „Głos Robotnika", pismo nielegalne, którego pierwotny tytuł brzmiał „Robotnik Polski". Ale w owym czasie powstała w Łodzi Chrześcijańska Demokracja, która widząc, że „Robotnik Polski" cieszy się u robotników powodzeniem, poczęła wydawać legalne pismo pod tym samym tytułem w przypuszczeniu, że robotnik da się wprowadzić w błąd i pojdzie do Chrześcijańskiej Demokracji. To skłoniło zarząd łódzkiego enzeteru do zmiany tytułu pisma na „Głos Robotnika" (w jubileuszowym numerze „Kilińskiego", wydanym przez Stowarzyszenie Enzeterowców i Kilińczyków w lipcu 1935, omyłkowo podano, że podstęp ten uczyniła socjaldemokracja).

Ruch narodowy wśród robotników przybrał charakter masowy i tak jak dotychczas urządzano zebrania na dziesiątkach partyjnych, tak teraz organizowano wiece w fabrykach. Metody te zapoczątkowali socjaliści, którzy urządzali wiece w fabrykach, nawet wśród dnia, kiedy należało pracować, metody te musieli zatem stosować i narodowcy, bowiem na wiecach występowali mówcy ze strony robotników narodowców, którzy nie mogli puszczać płazem kalumnij i oszczerstw miotanych na ruch narodowy robotniczy. Wiecowanie weszło już potem w zwyczaj i wiece urządzało się dość często.

Zadaniem przedstawiciela fabrycznego partji było między innemi czuwanie i pilnowanie, kiedy będzie urządzony wiec socjalistyczny. Wiece te urządzało się jawnie — jeżeli chodzi o ogół robotniczy fabryki — i wiedziało się o nich nieraz na kilka godzin wcześniej. Wtedy to przedstawiciel fabryczny enzeteru wysyłał gońca do kierownika dzielnicy i ten powiadamiał odpowiedniego mówcę narodowego, który przybywał na dyskusję z mówcami socjalistycznymi. Nie zawsze to się udawało, bowiem nie zawsze można było mówcę na czas zawiadomić, lub w porę go odszukać. Wówczas na mównicy zjawiał się któryś z miejscowych robotników enzeterowskich i polemizował z wywodami przeciwnika. Miało to swoje dobre skutki, bowiem taki mówca robot-



**Maksymiljan Brzeziński**

niczy wyrabiał się w tym kierunku i niebawem N. Z. R. w Łodzi mógł się poszczycić wieloma mówcami robotniczymi.

O ile przedstawiciele fabryczni zastąpili dawniejszych dziesiętników, o tyle setników miejsca zajęły zarządy dzielnicowe organizacji. Poszczególni członkowie tych zarządów byli jednocześnie kierownikami dzielnic, do których wchodziła pewna ilość fabryk położonych w pewnej określonej części miasta.

Najtrudniejsze zadanie miał dzielnicowy czyli kierownik dzielnicy. Jego zadaniem było czuwać i dopilnować, ażeby wszystkie fabryki były jak należy obsłużone przez partyjną bibułę, on musiał wiedzieć gdzie którego mówcę i kiedy można było w razie potrzeby znaleźć, jego zadaniem była organizacja milicji partyjnej, która pilnowała porządku na wiecu — jeśli to był wiec zwołany przez N. Z. R., chroniła mówcę od napaści ze strony socjalistów i wiec od rozbicia przez przeciwników. Były to czasy straszliwych walk bratobójczych, podczas których ginęło wielu naszych kolegów i dzielnicowy musiał także troszczyć się o pomoc materjalną dla wdów po zamordowanych przez socjalistów narodowcach. Jego zadaniem także była organizacja związków zawodowych, które wówczas dopiero powstawały. Dzielnicowy również czuwał nad rozwojem wśród robotników instytucyj społecznych jak: Polska Macierz Szkolna, Tow. Gimn. „Sokół", kooperatywy, organizacja bojkotu szkół rosyjskich, organizacja grup terorystycznych na opornych i demolowanie szkół, które niechętnie przyłączały się do bojkotu, organizacja śpiewu i pieśni niedozwolonych w kościołach w niedziele, jednem słowem wszystko co wchodziło w zakres ruchu narodowego wśród robotników spoczywało na barkach dzielnicowego — jeśli chodzi o techniczne wykonanie.

Z działalności swej dzielnicowy zdawał sprawozdanie na zebraniach Zarządu Okregowego. Pierwszym takim kierownikiem zreformowanej już dzielnicy „Zielonej" był Czesław Łączny (Zielony), zamieszkały przy ulicy św. Andrzeja 49, robotnik, człowiek bardzo zdolny, energiczny i niezwykle odważny. Był doskonałym organizatorem. Rozwój dzielnicy „Zielonej", która stanowiła dotychczas domenę socjalistyczną, był jego dziełem. Dzięki jego sprężystości i nieustraszoności N. Z. R. w dzielnicy „Zielonej" w bardzo krótkim czasie podważył fundamenty międzynarodówki. W tej dzielnicy też najpierw polała się krew, socjaliści bowiem, w obawie o utratę swoich wpływów wśród robotników, tu przedewszystkiem rozpoczęli krwawe ataki i tu padły pierwsze ofiary tych mordów.

Łączny tak energicznie wziął się do roboty, że zarząd dzielnicy nie mógł sobie z nią poradzić. Rozwój N. Z. R. był tak szybki, że trzeba się było uciekać o pomoc do innych dzielnic w dostarczaniu mów-

ców i prelegentów na zebrania i wiece. Gdy padły pierwsze strzały i nasi koledzy poczęli ginąć jeden po drugim, Łączny zorganizował samoobronę. Zarząd Okręgowy partji był coraz bardziej atakowany przez zarządy dzielnicowe, aby przystąpiono do organizacji bojówek, któreby broniły naszych kolegów przed bojówkami socjalistycznemi. W dzielnicy „Zielonej“ powstała również taka bojówka ochronna, na której powstanie Zarząd Okręgowy wkońcu musiał się zgodzić — naciskany przez zarząd dzielnicy, który opornemu Zarządowi Okręgowemu zagroził, że jeżeli dzielnica nie uzyska zgody na powołanie do życia milicji, zorganizuje ją na własną rękę, robotnicy bowiem nie mogą pozwolić, aby ich mordowano bezkarnie. Działo się to w maju 1906. Historja tych straszliwych walk czeka na swego dziejopisa i znaleźć się on musi. Ale to rzecz przyszłości.

W tym okresie praca organizacyjna prowadzona była prawie że jawnie. Jawnie wobec robotników w fabrykach. Dotychczas enzeterowcy w dzielnicy „Zielonej“ nie mieli odwagi przyznawać się wobec ogółu robotniczego do swoich narodowych przekonań, socjaliści bowiem, jak już zaznaczyliśmy, byli w tej dzielnicy panami życia i śmierci robotników. Jeśli gdziekolwiek wydało się, że ten czy tamten robotnik lub robotnica była przekonań narodowych, jeśli w dodatku odważyła się agitować na rzecz swej partji, wyrzucano ją z fabryki. Wrazie oporu bito. To był jeden z powodów wspomnianych już walk bratobójczych.

Inaczej się działo, gdy w fabrykach powstały oddziały enzeterowskiej milicji czy też, jak kto woli, bojówki. Odrazu też okazało się, że potęga międzynarodówki oparta jest na bardzo kruchych podstawach. Gdy bowiem ogół robotniczy poczuł, że jest ktoś, kto go obroni przed lufą rewolweru socjalistycznego, przestał się bać teroru — organizacje socjalistyczne kurczyły się i malały.

Czesław Łączny prowadził dzielnicę od stycznia do końca października 1906. W okresie tym zarząd dzielnicy stanowili: Łączny — dzielnicowy, Adam Radlicki, nauczyciel — ideowy kierownik dzielnicy i wykładowca, członkowie: Maksymiljan Brzeziński, Ludwik Mikołajczyk, Szczepan Brzozowski, Stanisław Miller, Józef Kaźmierczak, Stanisław Raszewski, Antoni Witczak, Wacław Dobrowolski i Franciszek Bartczak.

Zarząd dzielnicowy nie mógł sobie poradzić z robotą — tyle jej było. Dzielnica „Zielona“ bowiem należała do największych dzielnic partyjnych w Łodzi. Obejmowała ona ulicę Konstantynowską do Piotrkowskiej, Piotrkowską po stronie nieparzystej do ul. św. Anny,

Pańską do Milsza i plantu kolejowego, oraz część Karolewa. Na tym obszarze znajduje się olbrzymia ilość fabryk, w których stale odbywały się wiece, a mówców było brak. W tym celu zarganizowano w dzielnicy koło agitacyjne, do którego weszli: Maksymiljan Brzeziński — przewodniczący, Stanisław Miller, Wacław Dobrowolski, Ludwik Mikołajczyk, Franciszek Bartczak, Ignacy Lewicki, Marjanna Brzezińska, Marja Kordasz, Stefan Jażdżyński, Roman Komorowski i Henryk Muśkiewicz. Wykładowcami byli: Adam Radlicki, Doktorowa Bronisława Bondy, Włodzimierz Eborowicz i Maksymiljan Brzeziński.

Trzeba tu kilka słów poświęcić ideowemu kierownikowi dzielnicy Adamowi Radlickiemu. Był to jeden z nielicznych inteligentów, którzy — można rzec — całe swoje życie poświęcili sprawie robotnika polskiego i niepodległości. Jeśli którykolwiek z innych inteligentów enzeterowskich w pewnych okresach walki o niepodległość odsuwał się z takich czy innych względów od roboty organizacyjnej. Adam Radlicki byt z tych, którzy wytrwali w niej do końca swojego życia. Robotnicy widzą go w swoich szeregach od samego zarania walki o niepodległość. Był on jednym z założycieli Narodowego Związku Robotniczego w Łodzi i zawsze stał na stanowisku walki o niepodległość, zawsze był rzecznikiem nieustępliwości w tej walce. Gdy nastąpił okres rozbratu z Narodową Demokracją, był to jeden z nielicznych inteligentów w Łodzi, którzy stali na stanowisku rozłamu, wielu bowiem pozostało przy Narodowej Demokracji.

Adam Radlicki już jako student seminarjum nauczycielskiego w Siennicy bierze udział w pracy niepodległościowej. Tworzy w seminarjum bibljotekę z nielegalnych książek i jest jej bibljotekarzem. Grupuje około siebie kilku innych seminarzystów i tworzy nielegalne kółko oświatowe, którego też potem zostaje kierownikiem. Po ukończeniu nauki zostaje nauczycielem w progimnazjum Thomasa w Łodzi. Było to w latach od 1902 do 1904. Potem zostaje nauczycielem szkoły fabrycznej fabryki Poznańskiego.

W chwili walki o szkołę polską Adam Radlicki jest jednym z najczynniejszych propagatorów bojkotu i organizatorem Związku Nauczycielskiego przy partji. On też był jednym z inicjatorów zamachu na życie dyrektora gimnazjum rosyjskiego w Łodzi, Witanowskiego, który został zastrzelony przez członków łódzkiej organizacji N. Z. R. w Jędrzejowie. W tym okresie policja dokonywa w mieszkaniu Radlickiego rewizji i zostaje on aresztowany, ale z braku dowodów winy zwolniono go. Adam Radlicki został poraz wtóry aresztowany po wielkiej wsypie 1908 i znowu wyszedł z opresji obronną ręką, co stało

się dzięki temu, że w tym okresie wyjechał z Łodzi, znikając szpiclom z oczu.

W okresie przedwojennego marazmu politycznego, kiedy wszelki ruch społeczny skrył się głęboko pod ziemię, Radlicki był jedynym inteligentem w Warszawie, utrzymującym łączność z t. zw. dołem. W Zarządzie Głównym N. Z. R. pracowali wówczas Władysław Malangiewicz, Antoni Kaczorowski i inni. Członkiem Zarządu Głównego jest również i Adam Radlicki i on tylko przychodzi głównie do mieszkań robotniczych na skromne zebrania partyjne, podtrzymując ducha niepodległości w szeregach robotniczych. Gdy na widowni życia politycznego odżywa ruch organizacyjny — działo się to na krótko przed wielką wojną — Radlicki z ramienia N. Z. R. z innymi działaczami enzeterowskimi wchodzi do Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, jest również jednym z organizatorów kursów dla nauczycieli z Kongresówki w Krakowie, wreszcie w 1920 wstępuje jako ochotnik do wojska, by walczyć z najazdem bolszewickim.

Mając takiego kierownika ideowego, dzielnica „Zielona" mogła się rozwijać i rosnąć w siłę. Wracając do koła agitacyjnego w dzielnicy, niebawem wyszło z niego kilku zdolnych mówców, którzy następnie brali żywy udział w robocie organizacyjnej w fabrykach i izbach robotniczych. Oprócz już wymienionych mówców widzimy w dzielnicy „Zielonej" jako mówców: Walentego Michalaka, Józefa Jatczyka, Władysława Cynamona, Pawła Urbaniaka, który przytem pełnił obowiązki głównego kolportera pism partyjnych i wszelkich druków na wszystkie dzielnice. Praca wrzała, nikt się na nikogo nie oglądał, wszyscy prawie że się prześcigali w robocie, aby zrobić jak najwięcej i z jak najlepszym skutkiem, nie bacząc na grożące z dwu stron niebezpieczeństwo— władz carskich i socjalistów, przytem niebezpieczeństwo ze strony socjalistów było straszniejsze, bo o ile ze strony policji czy ochrany groziło tylko aresztowanie, w najgorszym razie Sybir — jeśli chodziło tylko o samą robotę polityczną wyłączając wystąpienia zbrojne — to ze strony socjalistów w każdej chwili mogłeś się spodziewać kuli.

Ludzie biegali jak szaleni od fabryk do fabryk, od izb do izb — roznosili bibułę, urządzali zebrania, gromadzili broń i amunicję. Gdzie trudno było coś uczynić — ze względu na niebezpieczeństwo — starszym, tam posługiwano się kobietami i dziećmi. Była to praca naprawdę ideowa, nikt bowiem nie myślał, ani marzył, że kiedyś otrzyma za to nagrodę. A jeżeli mowa o nagrodzie, to mogło nią być więzienie albo — śmierć. Gdy dziś wspominam owe czasy, pojąć nie mogę skąd w nas było tyle zapału i poświęcenia — nie mówię o sobie, ale o tych

tysiącach moich kolegów, z których wielu, zaledwie po kilkutygodniowem należeniu do N. Z. R. już z całem oddaniem się pracowali na rzecz ojczyzny. Tak, to było wielkie hasło — Polska, — które nam przyświecało w naszej pracy.

Niezależnie od pracy politycznej każdy enzeterowiec uważał sobie za święty obowiązek należeć do Macierzy Szkolnej, do związków zawodowych, do kooperatyw, młodzież zaś do „Sokoła“.

Wypada mi się tu cofnąć do dnia 1 lipca 1905, kiedy to ukazał swoje oblicze N. Z. R., który powstał z szeregu różnych kółek patrjotycznych robotniczych, istniejących przy Narodowej Demokracji. Do czasu powstania N. Z. R. socjaliści zwalczali nas argumentami, że jesteśmy organizacją nie robotniczą, lecz burżuazyjną, nie szczędzono oszczerstw, byle nas zgnębić i nie pozwolić urosnąć w siłę. Z chwilą powstania N. Z. R. sytuacja zmieniła się z gruntu. Wprawdzie jeszcze traktowano nas jako służkę Narodowej Demokracji, ale miana robotniczego już nam nie można było odmówić, zwłaszcza że na trybunach wiecowych widziano już prawdziwych robotników przemawiających imieniem N. Z. R.



Bronisława Bondyowa

Polska Partja Socjalistyczna i Socjaldemokracja — mimo że te dwie organizacje zwalczały się wzajemnie w sprawach zasadniczych— przeciwko enzeterowi wystąpiły solidarnie, przeciwstawiając hasłu niepodległości Polski, propagowanemu przez N. Z. R., hasło międzynarodowej solidarności proletarjatu. Dziś niektóre organizacje zawodowe — odpryski od partyj socjalistycznych — głoszą hasło: „Proletarjusze Polski łączcie się!“ a przecież jest to hasło enzeterowskie z 1905, tylko z tą różnicą, że zamiast „proletarjusze“, N. Z. R. używał słowa „robotnicy“, uważając miano „proletarjat“ za wyraz niepolskiego pochodzenia.

Teror zastosowany wobec nas przez socjalistów spoczątku dawał się nam we znaki. Zbrojne bojówki socjalistyczne rozbijały nasze wiece, a organizatorom tych wieców w fabrykach grożono śmiercią i groźby swoje wprowadzano potem w czyn. Atakowany N. Z. R. działał zrazu ostrożnie, nie mając jeszcze dostatecznej ilości mówców, a jeśli już się zjawiali, to nie byli tak wyrobieni jak socjaliści, jednak w pomoc przychodziła nam sama sprawa, która trafiała do serc polskiego robot-

nika. Zrazu, gdzie nie można było jeszcze — z wyżej przytoczonych względów — urządzać wiecu jawnego w fabryce, tam zbieraliśmy się tymczasem w tajemnicy przed socjalistami, zostając się po skończonej pracy w salach fabrycznych, i przygotowywaliśmy grunt do powołania do życia organizacji tak silnej, ażeby móc się oprzeć terorowi socjalistycznemu.

Socjaliści widząc, że tracą coraz bardziej grunt pod nogami, bowiem N. Z. R. rósł w siłę, poczęli nas zwalczać jaknajbardziej nieuczciwie, wypisując w swoich odezwach o nas rzeczy jaknajokropniejsze. Nazywali nas szpiclami, chuliganami, pachołkami burżuazji, nic cofając się przed wyrazami godnymi ulicznic. Przygotowywali w ten sposób grunt do przyszłych walk bratobójczych. Wszak szpiclów się zabijało, skoro zaś narodowcy obdarzani byli szpiclowskimi epitetami, czyż można się dziwić, że ten i ów robotnik socjalistyczny chwytał broń do ręki i strzelał do narodowca?

Pierwszą ofiarą tych walk padł kolega naszej dzielnicy „Zielonej“ Jan Bezyngier. Napadów i ciężkich okaleczeń narodowców było już przedtem kilka. Bezyngier tylko był pierwszym z tych, którzy dla swojej idei oddali życie, odebrane im przez braci robotników — socjalistów. Nie mogąc pomścić śmierci naszego kolegi, musieliśmy przejść nad tem do porządku dziennego. Żaden bojowiec enzeterowski nie miał odwagi występować zbrojnie przeciwko swoim przeciwnikom politycznym, którzy przecież także byli robotnikami — naszymi braćmi. Na myśl, że mogliśmy przecież tak samo przyczaić się na ulicy i dokonać zamachu na swego ideowego wroga, serca nasze wzdragały się i czuły do takich wystąpień wstręt. Kiedyś przecież do tego przyjść musiało, nie było bowiem innego sposobu, aby uratować naszą gromadę enzeterowską od zagłady.

To też gdy mordy nad naszymi kolegami dokonywane przez socjalistów stały się codziennem zjawiskiem, w maju 1906 Zarząd Okręgowy łódzki zgodził się — naciskany przez robotników — na założenie przy każdej dzielnicy organizacji bojowej, której zadaniem byłaby ochrona życia naszych ludzi. Zgodnie z regulaminem na czele takiej bojówki stał instruktor, który był jednocześnie członkiem zarządu dzielnicowego. Miało to swoje błogosławione skutki w fabrykach, bowiem z chwilą ujawnienia przed ogółem robotników poszczególnych fabryk, że N.Z.R. ma już swoją ochronną straż, enzeterowcy odkryli przyłbicę, nie kryjąc się już przed socjalistami ze swojemi przekonaniami. Dzięki temu już w lipcu 1906 nie było w Lodzi ani jednej fabryki, gdzieby nie było enzeterowców.

Gra w otwarte karty ze strony enzeterowców doprowadzała socja-

listów do szaleństwa. W wielu fabrykach, gdzie jeszcze stanowili oni olbrzymią większość, zastosowali nowe metody walki. Postanowili pousuwać z fabryk enzeterowców i zaczęło się wyrzucanie naszych ludzi z pracy. Ale enzeterowcy odpowiedzieli tem samem w tych fabrykach, gdzie byli w mniejszości socjaliści. I nastąpiło wzajemne wyrzucanie się z fabryk całemi gromadami. Musiało to, oczywiście, doprowadzić do rozlewu krwi. Doszło do zbiorowych krwawych walk, w których rewolwery odgrywały główną rolę. My, enzeterowcy, zawsze byliśmy stroną albo atakowaną, albo odwetową, pierwszeństwo w tych sprawach oddajemy z chęcią socjalistom. Tak, to oni zapoczątkowali te straszliwe walki.



**Stanisław Brzozowski**

Dzielnica „Zielona“, jakeśmy już raz wspomnieli, była twierdzą socjalizmu. Fabryka Kutnera przy ulicy Łąkowej była najmocniejszym fortem tej twierdzy. Dla charakterystyki działalności socjalistycznej w stosunku do enzeterowców przytoczę fakt, jaki wydarzył się w fabryce Bachracha przy ulicy Leszno 39.

Gdy enzeterowcy zostali przez socjalistów wyrzuceni z fabryki Wagnera przy ul. Leszno 32 i pozbawieni w ten sposób chleba, na specjalnem zebraniu zarządu dzielnicy „Zielonej“ naszej organizacji uchwalono w odwet wyrzucić wszystkich socjalistów z fabryki Bachracha, ich miejsca zaś obsadzić wyrzuconymi z fabryki Wagnera naszymi kolegami.

Skoro świt nasi ludzie obsadzili portjernię fabryki Bachracha, wpuszczając do fabryki tylko swoich. Socjaliści widząc co się dzieje, dali znać o tem swoim bojówkom, które o godz. 8 rano zgromadziły się przed fabryką w liczbie kilkudziesięciu ludzi i rozpoczęło się oblężenie fabryki. Po przeciwnej stronie fabryki Bachracha stoi do dziś dnia jednopiętrowa fabryczka Wagnera, którą bojowcy socjalistyczni obsadzili i rozlokowali się na piętrze i na dachu. Fabryka Bachracha znajduje się w odległości około 130 mtr. i ogrodzona jest parkanem. Od ulicy stoi portjernia.

Socjaliści, zająwszy dogodne pozycje w murach fabryki Wagnera, zażądali od enzeterowców poddania się. Postawili warunek: wpuścić do fabryki socjalistów i samym się usunąć, czyli mieliśmy im oddać fabrykę. Oczywiście enzeterowcy odmówili.

Wówczas nastąpił atak. Przedewszystkiem grupa bojowców przypuściła szturm do portjerni. Ale enzeterowcy zabarykadowali się w niej i o zdobyciu portjerni bez użycia broni mowy być nie mogło. Socjaliści nie zawahali się ani na chwilę i rozpoczęli strzelaninę w kierunku enzeterowców. Jednocześnie rozpoczęto strzelać ze wszystkich okien i z dachu fabryki Wagnera. Enzeterowców zebranych przed portjernią w podwórzu fabryki Bachracha mieli przed sobą jak na dłoni i mogli prażyć ogniem w ludzi — sami dobrze ukryci. Enzeterowcy schronili się za parkan i na strzały odpowiedzieli strzałami. Wywiązała się formalna bitwa.

Enzeterowcy strzelali naoślep poprzez drewniany parkan i kilku napastników postrzelili. Socjaliści wycofali się z ulicy, zabierając swoich ranionych. Enzeterowcy mieli również kilku ranionych, których tak samo z terenu fabryki wynieśli i ukryli w mieszkaniach w pobliżu zamieszkałych kolegów partyjnych.

Po kilku godzinach wojsko i żandarmerja z gromadą szpiclów otoczyła fabrykę, dokonując rewizji osobistej u wszystkich robotników. Charakterystyczne, że policja i żadna inna siła zbrojna nie przeszkadzała zapoczątkowanej przez socjalistów walce, wojsko i żandarmerja przyszła dopiero po dłuższym czasie, gdy walka dobiegła końca. Widocznie walka między robotnikami była im na rękę, czego inicjatorzy tych walk zapewne nie przewidzieli sądząc, że zdołają narodowców pokonać łatwo.

Ten smutny obrazek przedstawiam dlatego, że o walkach tych czytałem w różnych pismach socjalistycznych i wówczas gdy się one toczyły, i potem, po wielu latach — a i dziś jeszcze daje się często przypominać przez socjalistów, że narodowcy mordowali robotników, przytem robotnikami nazywa się socjalistów, narodowców zaś chuliganami, szpiclami i t. p. Tyczyło to się zawsze tych wypadków, gdy narodowcy działając we własnej obronie, odnieśli w walce zwycięstwo, natomiast o walkach, gdzie zwycięzcami byli socjaliści i gdzie padały trupy naszych kolegów, zwolennicy międzynarodówki dyskretnie milczeli. Socjaliści nie uważali także za stosowne pochwalić się jeszcze przed potomnością, że na kooperatywy robotnicze, dlatego tylko, że były organizowane przez enzeterowców, rzucali bomby, które przecież powinni byli użyć do walki z caratem. Taką bombę rzucono na sklep robotniczy enzeterowców przy ulicy Dworskiej róg Ciemnej w kwietniu 1907.

Byłem naocznym świadkiem w wielu wypadkach walk, jakie rozgrywały się na terenie dzielnicy „Zielonej", i przekonałem się, że z socjalistami można było dojść do porozumienia tylko wówczas, gdy zastosowano wobec nich ich własne metody walki. Gdybyśmy w owe cza-

sy pozwolili się steroryzować i stchórzyli, nasi kochani bracia proletarjusze spod czerwonego sztandaru byliby nas, enzeterowców, wystrzelali co do jednego.

Nie udało się to. Pragnę podkreślić, że po wypadku w fabryce Bachracha, o czem mowa wyżej, wyrzucanie z fabryk ustało, same walki jednak toczyły się dalej i trwały do maja 1907.

Mimo że dzielnica „Zielona" była z początkiem ruchu robotniczego z lat 1905—7 twierdzą socjalistyczną, to dzięki energicznej akcji odwetowej ze strony N. Z. R. mieliśmy w porównaniu z innymi dzielnicami stosunkowo najmniej zabitych. Zamordowani przez socjalistów zostali robotnicy nasi koledzy: Augustyn Ciesielski (członek koła agitacyjnego), Ludwik Mikołajczyk (zastępca dzielnicowego dzielnicy „Zielonej"), Stanisław Miętus, Dunafeld i Dobrowolski, oraz kilkunastu ciężko i lżej ranionych.

Nie wiem czy to przypadek, czy też istotnie jakaś ręka kierowała temi rzeziami robotników polskich, ale faktem jest, że kiedy enzeterowcy, nie znajdując sposobu na zaprzestanie okropnych walk bratobójczych, dotarli swoim odwetem do kiku przywódców esdeckich, żydów, znaleźli się wysłannicy partyj socjalistycznych z wyciągniętą ręką do zgody. Zabijanie się samych robotników nikogo nie wzruszało i nikogo nie przerażało, dopiero gdy trafiono do semickich przywódców esdecji, N. Z. R. uznany został za godną do zasiadania przy wspólnym stole narad organizację robotniczą.

Zwołano konferencję międzypartyjną i walki ustały. Jeden błąd tylko — mojem zdaniem — popełnił wówczas N. Z. R., mianowicie, że przy zawieraniu zgody nie postawiono warunku odwołania przez socjalistów wszystkich oszczerstw miotanych na N. Z. R., nie pozwoliłoby to bowiem później socjalistom na dalsze oszczercze napaści w związku z walkami bratobójczemi. Ale nie znam motywów, jakiemi kierowali się ówcześni przywódcy N. Z. R., przyjmując chętnie wyciągniętą do zgody dłoń socjalistów. Niechaj w tej sprawie zabiorą głos ci z naszych kolegów, którzy się sprawy konferencyjnej bezpośrednio dotykali. Być może, że samo zaprzestanie walk bratobójczych było tak wielką i ważną dla robotników sprawą, że wszystko inne nie miało znaczenia. O, tak, szkoda było każdej kropli cennej krwi naszych braci robotników.

Dla historji wystarczy stwierdzenie, że pierwszą ofiarą walk bratobójczych był nasz kolega Jan Bezyngier i pierwszą partją wyrzuconych z fabryki robotników było wyrzucenie dwanaście robotnic i siedmiu robotników z fabryki Kellera przy ul. Długiej 47. Wyrzucone zostały z pracy i pracy tej pozbawieni przez socjaldemokratów za to, że

nie chciały przystąpić do ich partji, oświadczając, iż są przekonań narodowych i swojej idei się nie sprzeniewierzą.

Jeżeli ten argument nie wystarczy dla przekonania dziejopisów socjalistycznych, że inicjatorami i napastnikami byli socjaliści, niech dziejopisy pofatygują się na cmentarze łódzkie, szczególniej na stary cmentarz katolicki i sprawdzą daty na tabliczkach grobowych zabitych narodowców i socjalistów, a przekonają się, że pierwsi tam na wieki zamieszkali enzeterowcy. Niechaj ci dziejopise także zajrzą do swoich archiwów i przeczytają odezwy socjalistyczne, i niechaj bezstronnie ocenią, kto pierwszy wcisnął broń do ręki robotnika i kto pierwszy nawoływał do mordu swych przeciwników politycznych. Mam nadzieję, że, aby im ułatwić robotę, koledzy nasi, znający lepiej dzieje tych walk, wyręczą ich w tem w przyszłości.

Może byłoby najlepiej milczeć o tych straszliwych przeżyciach robotników polskich, zwłaszcza robotników łódzkich, którzy tak wiele krwi przelali w walkach bratobójczych, które bądźcobądź zaszczytu klasie robotniczej nie przynoszą, ale skoro socjaliści wydają takie np. książki jak „Łódź w ogniu", w której aż się roi od kłamstw i inwektyw skierowanych w stronę N. Z. R. właśnie spowodu walk bratobójczych, to trudno jest milczeć człowiekowi, który w tych okropnych czasach żył i patrzył na nie własnemi oczyma. Czytając tego rodzaju broszury, odnosi się wrażenie, że dawna nienawiść do robotników przekonań narodowych u socjalistów trwa dotąd i, że się niczego nie nauczyli.



Adam Radlicki

Będąc członkiem N. Z. R. od pierwszych dni jego istnienia do ostatnich, pełniąc w tej organizacji stanowisko kierownicze, miałem możność poznać tajniki działalności partji i stwierdzam z czystem sumieniem i dumą, żeśmy nie mieli prowokatorów i do pomocy w prześladowaniu enzeterowców przez policję rosyjską i ochranę zgłosili się socjaliści, których takie nazwiska jak Fremlowie i Kołduńscy zbyt dobrze są znane robotnikom łódzkim, aby je trzeba było przypominać.

Działo się w czerwcu 1907. Co wybitniejsze jednostki przeważnie w domu nie przebywały i na nocleg udawały się do znajomych i przyjaciół w obawie przed wkroczeniem do ich mieszkań policji, która węszyła po izbach robotniczych w towarzystwie Fremlów, Kołduńskiego i innych esdeków i pepesowców. Robotników set-

kami zamykano w więzieniach i wysyłano bądź z wyroków sądowych, bądź administracyjnie na Sybir i do odległych gubernij Rosji. Szubienice w więzieniu przy ulicy Długej 13 pracowały codziennie — o! Fremlowie i towarzysze byli gorliwi. Tutaj właśnie należy szukać gangreny, która opanowała rewolucję rosyjską i zżarła ją wreszcie.

Wspominam o tych faktach dlatego, żeby dowieść jak wielka była różnica siły moralnej enzeteru i partyj socjalistycznych. N. Z. R. dbał nietylko o polityczne i społeczne wyrobienie swych członków, ale wpajano w serca i umysły zasady uczciwości życia, dlatego do organizacji nie przyjmowano każdego kto się zgłaszał, ale starano się przedtem zbadać wartość jednostki pośród sympatyków N. Z. R. Do partji przyjmowano ludzi pewnych i wypróbowanych przedtem w robocie politycznej i społecznej między sympatykami, w szeregi zorganizowanych wpuszczano kandydatów po poręczeniu przez innych, już znanych i czynnych członków. Dzięki temu do tajemnic organizacyjnych dopuszczeni byli ludzie juz naprawdę zasłużeni w szeregach partji. To też szpicel tam nie mógł się dostać, a jeśli nawet przemycił się gdzieś, to chyba wśród takich, którzy byli w partji na ostatnim planie, na szarym końcu i z takiego Moskale wielkiego pożytku nie mieli.

Wypada mi jeszcze wspomnieć o terorze stosowanym przez N. Z. R. wobec opornych w okresie bojkotu szkoły rosyjskiej, bowiem dzielnica „Zielona" brała w tej akcji żywy udział. Pamiętam jakeśmy w liczbie kilkunastu wtargnęli do szkoły przy ulicy Pańskiej róg Zielonego Rynku. Było to jesienią 1906 w piątek, w dzień targowy, podczas największego ruchu na ulicy.

Zastaliśmy drzwi szkoły zamknięte. Trzeba było wytłuc szyby. Podczas demolowania szkoły nadjechał na Zielony Rynek oddział kozaków. Ale zdążyliśmy się ulotnić, a kozacy przez zemstę bili nahajkami i rozpędzili wszystkich targujących na placu i na ulicy.

Dnia 3 maja 1907 N. Z. R. zorganizował w kościele św. Krzyża śpiewy patrjotyczne. Podczas śpiewania pieśni „Boże coś Polskę" przed kościół zajechało wojsko. Kościół był nabity naszymi ludźmi, natłoczony był również cmentarz kościelny i gdy żołdacy zatrzymali się przed kościołem, tłum przypuścił szturm, obrzuciwszy wojsko kamieniami. Moskale pierzchli, ale niebawem wrócili w większej sile i przypuszczono atak na kościół strzałami karabinowemi. Było wielu ranionych.

Opis niniejszy nie jest oczywiście całkowity, jeśli chodzi o działalność dzielnicy „Zielonej", każdy z enzeterowców bowiem miałby tutaj dużo do powiedzenia; podaję do wiadomości tylko to, co zapamiętałem, a raczej, co pamiętam w chwili pisania. Mam nadzieję, że inni koledzy, zdolniejsi odemnie w pisaniu, uzupełnią moją pracę.

II

Było to w latach 1903 i 4. Pracowałem w fabryce Kutnera przy ul Łąkowej. Wśród robotników budziły się nadzieje lepszej przyszłości, ruch społeczny rozwijał się i krzepł, choć może to co się wówczas działo, nie należałoby nazywać jeszcze ruchem społecznym, a narodzinami buntu, bowiem narazie nic się jeszcze społecznego nie tworzyło, jeśli chodzi o masy, robotnicy przygotowywali się tylko do przyszłej walki o swoje prawa. Fabryka Kutnera należała do tych fabryk, w których najmocniej uwydatnił się ruch robotniczy od samego początku, była ona jakby pionierem tego ruchu w tej części Łodzi.

Istniały tu dwie organizacje socjalistyczne i obie były dość mocne od samego początku, mimo że wielu robotników do żadnej z tych organizacyj nie należało, wszyscy jednak o istnieniu tych partyj wiedzieli i z ruchem socjalistycznym sympatyzowali. Należałem do P. P. S., bowiem partja ta bardziej mi odpowiadała niż S. D., która nie uznawała żadnego rozgraniczenia między robotnikami poszczególnych narodowości. Ale teorji tej przeczyła rzeczywistość już choćby istnieniu w samych partyj socjalistycznych, które nie mogły pomieścić w sobie wszystkich robotników, bowiem w tejże fabryce Kutnera istniał i Bund — partja socjalistyczna, a przecież żydowska — mimo że w Socjaldemokracji było wielu żydów.

Moja przynależność do P. P. S. nie miała jednak mocnych podstaw, gdyż czułem się Polakiem i bolało mnie, gdy moi towarzysze z lekceważeniem odzywali się o wszystkiem, co nosiło na sobie znamiona patrjotyzmu. Nie byłem wprawdzie zwolennikiem szowinizmu nacjonalistycznego, ale też i nie rozpływałem się w zapale ku międzynarodowej solidarności proletarjatu. A już bodło mnie, gdy inni towarzysze-bundowcy i esdecy kpili wprost z Polski, widząc w niej symbol szlachetczyzny i burżuazji. A przecież z tymi ludźmi współdziałała moja partja, choć teoretycznie stała na innem stanowisku ideologicznem.

Takich jak ja było nas więcej w fabryce. To też gdy dotarły do naszej fabryki odezwy narodowe, zainteresowaliśmy się ich treścią i muszę przyznać, że do moich uczuć trafiały one jakoś mocniej, z pewnym sentymentem i poruszały serce, czego żadna z odezw socjalistycznych nie umiała uczynić. U socjalistów wszystko opierało się na wyrachowaniu i materjaliźmie, podczas gdy z treści odezw narodowych płynęła wiara, serdeczność, płonął zapał, który porywał za serce.

Ale daleko stąd jeszcze do tajemnic organizacyjnych ludzi, którzy w ten sposób do robotników przemawiali. Przypadek zrządził, że u

jednego ze swych znajomych poznałem Romana Tyszkę, który jak się później dowiedziałem, był działaczem narodowym i należał do T. O. N. Zbliżyliśmy się do siebie, zwierzając się wzajemnie ze swych uczuć i jakoś bardzo prędko porozumieliśmy się. Niebawem też otrzymałem od Tyszki kilka odezw narodowych, które przyniosłem do fabryki i rozrzuciłem je między maszynami. Zaraz jednak odezwało się coś w mojem sumieniu, że postępuję niewłaściwie, rozrzucając odezwy narodowe, podczas gdy jestem członkiem partji ruch narodowy zwalczającej i stojącej na przeciwnym krańcu walki społecznej. Wahania szybko przechyliły się na stronę mojej nowej idei i z P. P. S. wystąpiłem.

Nie przyznałem się jednak odrazu do mojego nowego oblicza politycznego. Nie mogłem, w obawie prześladowań ze strony dotychczasowych moich towarzyszy, boć trzeba było pracować i o chleb się starać. Wprawdzie były to czasy, gdy jeszcze nie było mowy o walkach, które potem rozgorzały i przybrały tak straszliwą formę, niemniej nie można było ufać nikomu, zwłaszcza że i każdy inny krył się ze swoją przynależnością partyjną. Toczyło się spory polityczne, to prawda, ale uznawanie takiego czy innego światopoglądu jeszcze nie świadczyło o należeniu do tej czy innej partji. A biorąc pod uwagę wrogi nastrój większości robotników do wszelkiej myśli nacjonalistycznej, nie ryzykowałem publicznego świadczenia na rzecz idei narodowej. Z punktu widzenia taktyki propagandowej nie leżało zresztą w interesie odkrywanie kart przed czasem, trzeba było pierwej stworzyć jakąś komórkę organizacyjną, wpływać na szerszy ogół w duchu narodowym i czekać aż sprawa dojrzeje.



Czesław Łączny

Praca szła bardzo powoli i musiałem do niej przystępować z wielką ostrożnością, werbując sobie zwolenników przedewszystkiem spośród bezpartyjnych, a dopiero potem zapuszczając sondę w uczucia moich dawnych towarzyszy socjalistycznych. Była to robota ciężka i trwała długo, ale uwieńczona pomyślnym skutkiem, bo gdy w 1905 powstał Narodowy Związek Robotniczy, 30 procent członków ogółu fabrycznego należał do organizacji narodowej. Wielką pomocą był mi w tej robocie Antoni Witczak, który następnie był moim zastępcą w bojówce i Ignacy Raszewski, także potem wybitny działacz robotniczy w N. Z. R.

Sczasem przecież istnienie narodowej organizacji robotniczej w fabryce Kutnera musiało się ujawnić, co gdy się stało, wśród socjalistów zapanowała konsternacja, byli bowiem przekonani, że w tej twierdzy socjalistycznej robotnik narodowy nigdy nie będzie śmiał pokazać swego oblicza, więcej — nie będzie miał odwagi wogóle tam wejść. Już samo ukazanie się odezw N. Z. R. wyprowadzało przywódców socjalistycznych z równowagi, głównie esdeków, którzy pienili się z wściekłości, gdy takie odezwy między maszynami zostały znajdywane.

Na mnie też odrazu padło podejrzenie za rozrzucanie tych odezw, gdyż wiadomo było wszystkim robotnikom, że wystąpiłem w swoim czasie z P. P. S. i powiedziałem dlaczego to uczyniłem. Ponieważ dotychczas nikt mnie o moją nową przynależność partyjną nie nagabywał, więc sam się jako enzeterowiec nikomu nie przedstawiałem, teraz jednak, gdy zaatakowano mnie wprost, pytając czy to moja robota z temi odezwami, przyznałem się do „winy".

Było to jeszcze przed ogłoszeniem konstytucji październikowej, ale już w okresie wrzenia wśród robotników i pierwszych strajków. Dawni moi towarzysze z P. P. S. nie stawali w mojej obronie, gdy zostałem przez esdeków zaatakowany, ale też nie żywię do nich z tego powodu żalu, przecież byłem obecnie ich wrogiem, muszę jednak przyznać, że byli przeciwni usunięciu mnie z pracy, do czego parli esdecy. Nie potrzebowałem atoli niczyjej pomocy, bo atak esdecki przeciwko mnie wykazał, że nie byli oni wcale tacy mocni, za jakich chcieli w oczach ogółu robotniczego uchodzić. Enzeterowcy stanęli przeciwko esdekom w takiej pokaźnej sile, że to ich wprost zdumiało. Wielu robotników, których oni uważali za swoich zwolenników, okazało się członkami N. Z. R.

Atak esdeków spalił na panewce i cała historja skończyła się na wesoło. Było tylko trochę śmiechu. Byliśmy coprawda mniejszością i to znaczną mniejszością, ale nie tak słabą, żeby można było kogoś z naszych wyrzucić z fabryki. Odtąd zaczęła się praca na dobre i nasz ruch organizacyjny pulsował życiem. Niebawem rozpoczęło się wiecowanie po fabrykach i przystąpiliśmy do wzmacniania naszych szeregów organizacyjnych, tak że niebawem dzielnica Zielona, której byłem kierownikiem technicznym, urosła do takiej potęgi partyjnej, iż bardzo często naszych ludzi, że tak powiem, pożyczaliśmy innym dzielnicom do roboty agitacyjnej i dla ochrony działaczów enzeterowskich, którym ze strony bojówek socjalistycznych groziło niebezpieczeństwo.

Nasza intensywna robota w dzielnicy nie mogła się podobać socjalistom, którzy też starali się wszelkiemi sposobami mnie unieszkodliwić. W fabryce Kutnera przestałem pracować, miałem bowiem tak

wiele roboty z kolportażem bibuły na dzielnicy, z zebraniami kół fabrycznych, z organizacją i ochroną wieców, że kilku ludzi zatrudnionych było bez przerwy od rana do nocy. Przychodziły coraz to nowe transporty pism organizacyjnych i odezw, a to organ łódzki N. Z. R. „Głos Robotnika", to „Kiliński", organ Zarządu Głównego, to znów „Pochodnia", organ warszawskiego okręgu partji, kiedyindziej znowu „Polak", pismo o charakterze ogólno-narodowym i wiele innych wydawnictw, broszur i książek, że trzeba było kolportować stale coraz to coś nowego. Dwa do trzech razy w tygodniu, czasem i częściej Władysław Jankowski (Gruby) dostarczał nam na dzielnicę bibułę.

Socjaliści postanowili ze mną skończyć. I tu na widownię wystąpili bardzo agresywnie pepesowcy. Prawdopodobnie wzięli sobie za punkt honoru skończyć z tym, który „sprzeniewierzył" się ich sztandarowi i potem stał w dzielnicy na czele wrogiej im narodowej organizacji. Szczególnie uwzięli się na mnie trzej pepesowcy, bracia Zybalscy, którzy podjęli się roli uśmiercenia mnie. Przysłali mi najprzód wyrok śmierci, z pieczątką dzielnicy, a jakże! Dali mi jednak możność „naprawienia błędu" i zapowiedzieli, że nic mi się nie stanie, jeśli wystąpię z N. Z. R. i przestanę wogóle działać. Zlekceważyłem „wyrok", ale któregoś dnia Zybalscy z kilkoma towarzyszami swymi przyszli do mego mieszkania na ul. Andrzeja 49 (nie zastali mnie w domu) i zapowiedzieli rodzinie, że czekają jeszcze tylko kilka dni i potem, gdy nie zastosuję się do postawionych mi wymagań, bojówka ze mną skończy.



Antoni Witczak

Sprawa stawała się poważna. Tak przynajmniej sądziłem i tak to zresztą z postępowań Zybalskich, występujących jako pepesowcy, wynikało. Trzeba było zachować wszelkie możliwe ostrożności i odtąd stale przez dłuższy czas chodziłem w towarzystwie dwóch uzbrojonych kolegów, wśród których był Kazimierz Bryński, bardzo energiczny i bardzo odważny młodzieniec.

Ostrożność w zachowaniu się na ulicy była konieczna ze względu na gęste patrole i częste rewizje. Patrole zwłaszcza zaczepiały ludzi młodych, poszukując broni albo nielegalnej literatury. Musiało to dość często doprowadzać do walki z patrolami, nie mogliśmy bowiem dać się brać jak gęsi. Tak było kiedyś na ul. Andrzeja gdy wracałem

w towarzystwie kilku kolegów do domu. Koledzy szli osobno po obu stronach ulicy, gdy spotkaliśmy się z patrolem kozackim. Na czele jechał oficer czy też strażnik, już nie pamiętam, i zdaleka krzyczał: „ruki w wierch!“ Ale w tej samej chwili padły strzały. To nasi koledzy odpowiedzieli na wezwanie podniesienia rąk dogóry. Miało to nadspodziewany skutek, bo kozacy zawrócili gwałtownie i pognali w kierunku Piotrkowskiej. Nic nikomu się nie stało.

Innym razem znowu zostaliśmy napadnięci przez bojówkę Zybalskich. Było to na ul. Benedykta. Szedłem wówczas tylko w towarzystwie Bryńskiego i Witczaka. Nagle styłu padły strzały. Kula przeszyła mi spodnie i drasnęła lekko w nogę. Odpowiedzieliśmy ogniem, ale bojówka Zybalskich drapnęła. Znowu wszystko skończyło się tylko na strzelaniu w powietrze.

Wreszcie kiedyś kula mnie dosięgła. Stało się to na ul. św. Anny. Wszedłem z Bryńskim i Witczakiem do restauracji na piwo. Zastaliśmy tam strażnika z dwoma sołdatami. Pili także piwo. Cofnąć się nie było można, bo toby nas zdradziło. Trzeba było robić dobrą minę. Może właśnie graliśmy za dobrze, bo strażnik zaczął mi się przyglądać spodełba. Wypiliśmy piwo i wyszliśmy z restauracji. Ale tuż za nami wyszedł strażnik z sołdatami i krzyknął: „gaspada! gaspada!“

Nie zdążyłem się zastanowić co robić, gdy padł strzał karabinowy. To jeden z sołdatów strzelił. Kula ugodziła mnie w nogę. W tej samej jednak chwili Witczak i Bryński poczęli strzelać z rewolwerów. Strażnik i sołdaci zawrócili w stronę Piotrkowskiej, myśmy zaś uciekli w kierunku Pańskiej. Tak więc, gdyby nie postrzał mojej nogi, sprawa byłaby zakończyła się groteskowo, bowiem patrol i my uciekaliśmy od siebie wzajemnie. No, ale uchroniliśmy się od wsypy, a o to przecież tylko szło. Rana okazała się lekka i wyleczyłem się z niej dość prędko.

Raz nam się jednak udało. Było to na Aleksandrowskiej. Spotkaliśmy się z patrolem i znowu jak zwykle: „ruki w wierch!“ Oddaliśmy salwę rewolwerową i strażnik padł na bruk. Został postrzelony. Ochrona jego — dwaj sołdaci — zrejterowali. Czytaliśmy potem w gazetach o zamachu na życie strażnika, którego nazwiska nie pamiętam, ani też wogóle przedtem go nie znałem. Kiedyś znowu Bryński postrzelił w takich samych okolicznościach na tej samej ulicy Aleksandrowskiej kozaka na koniu.

Wracając do Zybalskich muszę zaznaczyć, że wsławili się oni potem w Łodzi jako bandyci i jeden z nich ścigany przez policję, wyskoczył z okna któregoś tam piętra na ulicę i złamał sobie nogę oraz ciężko się potłukł, a sołdaci dopadli doń i dobili go kolbami karabinów.

Działo się to w 1906 na ul. Benedykta. Pościg był dokonany w związku z napadem bandyckim, którego szczegóły nas tutaj nie obchodzą. Tak więc słynni w dzielnicy Zielonej bojowcy socjalistyczni byli potem niemniej słynnymi bandytami. Mieli oni na sumieniu wielu robotników, których zamordowali w walkach bratobójczych za to, że wyznawali ideę narodową.

Tak intensywna i prawie jawna robota nie mogła ujść uwagi szpiclów, z których już wówczas, choć jeszcze w ukryciu, wielu rekrutowało się z członków partyj socjalistycznych. Może to ich „zasługa", że policja zaczęła mi deptać po piętach. Czułem ,że jestem śledzony i byłem skrępowany. Aż razu pewnego do mieszkania mego przybyła żandarmerja na rewizję. Nie znaleźli nic, choć w mieszkaniu mojem wówczas znajdowało się kilkanaście rewolwerów. Broń miałem ukrytą w futrynie drzwi, a raczej w murze za listwą futryny. Poza listwą wybity był mur na całej długości drzwi i porobione były przegródki z półeczkami. Na każdej półeczce leżał jeden rewolwer z zapasowym magazynem. Z drugiej strony drzwi na takich samych półeczkach ulokowane były naboje.



**Kazimierz Bryński**

Gdy policja i żandarmi weszli do mieszkania, jeden ze strażników przedewszystkiem oparł się o futrynę drzwi i stał na czatach. A tuż za nim leżała broń, o którą tak im chodziło i o którą strażnik prawie się opierał. Nic nie znaleźli. Mimo to zostałem aresztowany i przez kilka dni przetrzymano mnie w żandarmerji. Nie mogąc mi dowieść żadnej winy, zwolniono mnie. Ale „opieki" mnie nie pozbawiono. Nie było innej rady, jak przenieść się w inną dzielnicę. Nie mogło to oczywiście chronić mnie całkowicie, bowiem policja musiała znać moje nazwisko, ale też nie meldowałem się przecież i nie przychodziłem do domu. Nocowałem u kolegów partyjnych, coraz to gdzieindziej. Ten sam los spotkał wielu innych enzeterowców w dzielnicy Zielonej, między którymi był Witczak i Bryński i oni tak samo unikali swego domu.

Wyjeżdżało się wówczas często do roboty gdzieindziej. Kiedyś pojechałem z Bryńskim i Witczakiem do Ozorkowa, gdzie miałem zorganizować wiec enzeterowski. Ale ktoś zdradził nasze zamiary, a raczej zdradził zamiary kolegów ozorkowskich, bo to oni wiec urządzali, myśmy tylko pojechali tam na agitację i na ochronę mówcy. Gdyśmy przyjechali do Ozorkowa, zastaliśmy tam już sotnię wojska, których przysłano do Ozorkowa z Łączycy. Wiec oczywiście nie doszedł do

skutku i ledwo uszliśmy, bowiem wszystkie drogi były obstawione przez wojsko.

Razu pewnego otrzymałem polecenie z zarządu partji, abym natychmiast wyjechał z kilkoma ludźmi do Warszawy dla wprowadzenia do fabryki Blunka wyrzuconych przez socjalistów enzeterowców. Organizacja nasza w tej fabryce była nie dość mocna i koledzy warszawscy także nie mieli dostatecznej siły dla uporania się z socjalistami. Pojechaliśmy . Zgromadziliśmy przed fabryką wszystkich wyrzuconych z pracy przez socjalistów robotników i pod osłoną rewolwerów wprowadziliśmy do sal. Socjaliści ustąpili przed siłą. Enzeterowcy wrócili do pracy. Jeden z naszych ludzi, Kraszewski, pozostał wówczas w Warszawie na stałe i nawet zaczął pracować w tej samej fabryce Blunka.

Wypada mi jeszcze naostatek opisać jak to razu pewnego transportowałem 12 rewolwerów i 2500 nabojów. Broń tę przywiózł do Łodzi Jankowski. Ulokowana była chwilowo w mieszkaniu Jerzykowskiego przy ul. Zarzewskiej. Stamtąd ją odebrałem. Zapakowana była w paczki, które wyniosłem do dorożki, aby przewieźć do swego mieszkania na ul. Andrzeja. Dorożka ruszyła.

Ale oto na Piotrkowskiej niedaleko Nawrot dorożka zatrzymała się. Co się stało? Ulica natłoczona była wojskiem i policją. O zawróceniu mowy być nie mogło. Zwróciłoby to uwagę policji, która zresztą nikogo spowrotem nie przepuszczała. Kto wszedł lub przejechał za kordon, to i został. Tak właśnie stało się ze mną. Dorożkarz spytał, czy nie mam czegoś niebezpiecznego przy sobie. Odpowiedziałem oczywiście, żeby się nie bał, ale mnie samemu serce biło mocno.

Jak się potem dowiedziałem, na ulicy Przejazd rzucono bombę. Był to zamach na policmajstra Łodzi, Chrzanowskiego. Siedziałem w dorożce, pewien, że nie wydostanę się z opresji. Schwytanie mnie w tej chwili groziło mi niechybną śmiercią. Tuzin rewolwerów i 2500 nabojów w chwili gdy rzucono bombę... Perspektywa nie do pozazdroszczenia. Ale cóż było robić. Trzeba się było z losem pogodzić. Tym razem o strzelaniu z mej strony mowy być nie mogło. Byłem sam, a wokoło kilka setek żołnierzy i moc policji, szpiclów, żandarmów.

Sytuacja ta trwała może z pół godziny. Przeżyłem wówczas okropne chwile. Ale oto nie wierzę swoim uszom. Słyszę wyraźnie rozkaz: „propustit publiku“! Tramwaje i dorożki ruszają. Rusza także i moja dorożka. Dojechaliśmy do ul. Andrzeja, potem każę dorożkarzowi skręcić w Promenadę i do jednej z bram znoszę paczki z dorożki. Na ulicach tłumy, patrole chodzą, ale jakoś mi się udało. Czekałem w bramie może z kwadrans, aż się trochę uspokoi i potem drugą dorożką przywiozłem paczki z bronią i amunicją do domu.

**Władysława Szrajerówna**

# Z tajnego nauczania

Jako córka weterana 1863 wychowana byłam w atmosferze patrjotyzmu. W moim domu rodzinnym zawsze mówiło się o Polsce, ilekroć wspominaliśmy ojca, zawsze myśli nasze kojarzyły się z walką o wolność i niepodległość — wszak ojciec nasz był jednym z bojowników o tę wolność. Nic tedy dziwnego, że i w nas — jego potomstwu — budziły się myśli tej walki. Inne to tylko były już czasy, o zbrojnem wystąpieniu przeciw ciemiężycielowi wtedy się nie mówiło — owszem marzyło się o tem, ale marzycieli tych było tak mało — przynajmniej tych, którzy marzenia pragnęli przyoblec w jakieś szaty organizacyjne.

Pierwsze przebłyski mego buntu zrodziły się w szkole, gdy jako maleńka dziewczynka, posłana do szkoły, dziwiłam się, dlaczego to muszę uczyć się po rosyjsku, kiedy w domu mówiło się po polsku. Ale nie miałam możności reagowania — nie umiałam się jeszcze buntować, lękałam się samej myśli reakcji. Przecież było to w owe czasy okropne i mogło mieć straszne dla mnie następstwa. Czułam w sobie jeszcze dziecięcy lęk przed wszystkiem, co mogłoby przynieść mi szkodę i przykrość rodzinie. Szkodę — tak wówczas sądziłam.

Ale po jakimś czasie, gdy poczęło rozwijać się w Warszawie szkolnictwo prywatne, odebrano mnie ze szkoły rządowej i posłano do 6-klasowej szkoły prywatnej Jaśniewiczowej na Nowym Świecie. Zrozumiałam czem była dla mnie ta zmiana. Wiedziałam, że — aczkolwiek nie mówiono mi o tem — posłano mnie do innej szkoły dlatego, żeby nie uczyć się w szkole rządowej, moskiewskiej. Zmiana ta wpłynęła na moje usposobienie wielce. Odrazu też poczułam w sobie przypływ buntu. No, teraz — myślałam — będę mogła sobie pozwolić na jakiś protest, gdyby ktoś chciał zadrażnić moje patrjotyczne uczucia.

Sposobność nadarzyła się bardzo prędko. Nie wiem nawet, jak to się stało. Ot, przyszło samo jako wynik gromadzącej się w mej dziewczęcej duszy goryczy. Nauczycielka języka francuskiego, Sent Lourent kazała nauczyć mi się na pamięć wierszyka, który opiewał wielkość Rosji i w pewnem miejscu było powiedziane: „Rosja jest moją ojczyzną“. Wierszyka się nauczyłam, ale zamiast Rosja, powiedziałam Polska. Nie pamiętam dzisiaj jak to się stało i nie było to rezultatem przygotowania, nie uczyniłam tego z zimną krwią, ot poprostu samo się tak powiedziało.

Ale potem już zrodził się upór. Gdy francuzka rozkazała mi powtórzyć słowa, skarciwszy za „fałsz“, zacięłam się i milczałam. Do-

prowadzało ją to do pasji. Wreszcie, nie mogąc wydobyć ze mnie ani jednego słowa, kazała mi wyjść za drzwi. Miało to być karą za krnąbrność, a było ułatwieniem w mojem opanowaniu się i uspokojeniu. Za drzwiami popłakałam się, ale rychło się uspokoiłam i poczułam w sobie jakąś dziwną dumę.

Kraj przeżywał wówczas ciężkie chwile prześladowań wszystkiego co było polskie, z nielicznych urzędów, w których posługiwano się jeszcze językiem polskim, język ten rugowano, zaprowadzając wyłącznie język rosyjski — jak w kancelarjach parafjalnych, w dozorach cmentarnych i t. p., usunięto także język polski z osobistych książeczek legitymacyjnych (legitymacjonnaja knižka), jednem słowem władze carskie starały się zniszczyć wszelkie znamiona polskości w „Priwislinskim Kraju". Pamiętam jak jeden z tygodników rolniczych był skonfiskowany za użycie w artykule terminu „polska gleba". Wiadomości o tych prześladowaniach działały na mnie tak, że w naiwności dziewczęcej przysięgałam sobie w duszy zabić chociaż jednego Moskala.

Miałam lat 14, gdy dowiedziałam się o istnieniu organizacji „Oświata Ludowa". Poznałam się bliżej z wielu rówieśnicami szkolnemi, wśród których było kilka członkiń tej organizacji. Zapragnęłam i ja do nich należeć. — Ale to są duże obowiązki — mówiły mi koleżanki. Jakież? Trzeba biedne dzieci uczyć czytać i posać. Ależ z całą przyjemnością i pragnieniem. I tak zaczęła się moja praca nielegalna dla ojczyzny. Wynotowałam sobie nazwiska biedniejszych matek z całego domu, gdzie mieszkali moi rodzice i po rozmowie z każdą z nich, zebrałam kilkoro dzieci i uczyłam je czytać, pisać i rachować. Zadaniem takiej nielegalnej nauczycielki było przedewszystkiem wpajać w dzieci naukę ojczystą, którą czerpało się głównie z literatury nielegalnej.

Do organizacji jednak dostałam się dopiero później, tak zmiejsca nikogo w życie organizacyjne nie wtajemniczano, trzeba było zachować wszelkie ostrożności. Próba wypadła snać dla mnie dodatnio, skoro koleżanki zakomunikowały mi, że w Ogrodzie Botanicznym odbędzie się manifestacja. Było to 3 maja 1891. W Ogrodzie tym co roku od pewnego czasu, na ruinach niedokończonej budowli świątyni Opatrzności, która miała być wzniesiona na pamiątkę Konstytucji 3 Maja, odbywały się manifestacje wtajemniczonej w życie organizacyjne kółek patrjotycznych młodzieży. Były to manifestacje całkiem niewinne — każdy przyniósł kilka kwiatków i składał je na ruinach.

Tego roku jednak zebrało się w Ogrodzie Botanicznym bardzo wiele publiczności — więcej niż każdego roku. Dowodziło to, że ruch or-

ganizacyjny wzmagał się z roku na rok, manifestacje te bowiem weszły już w tradycyjny zwyczaj. Policja rosyjska wiedziała o tych manifestacjach i tym razem było jej w ogrodzie i Alejach Ujazdowskich bardzo dużo. Manifestacja odbywała się przez cały dzień, ale nad wieczorem w okolicy było już, można rzec, tłoczno. Policja zachowywała się spokojnie, obserwując tylko spacerujących, cichych manifestantów.

W 10 lat potem byłam na takiej samej manifestacji w Alejach Ujazdowskich z bratem swym Stefanem. Aleje były natłoczone publicznością, jednakże Ogród Botaniczny i Łazienkowski były zamknięte. Przy bramach mimo to stała policja i żandarmi. Wtem od placu Trzech Krzyży i Belwederu oraz z poprzecznych ulic poczęły się ukazywać oddziały kozaków. Rozległy się okrzyki: „Razojdities". Tłum rozproszono. Aresztowano bardzo wielu ludzi. Wśród manifestantów było także dużo robotników. Policja zaczepiała przechodniów i zapytywała dokąd kto idzie. Odpowiadano, że do kościoła na majowe nabożeństwo. Wówczas bito wszystkich, odpowiedź ta bowiem, w rozumieniu policji, świadczyła, że był to uczestnik manifestacji.



Władysława Szrajerówna

Brat mój krył coś przede mną — czułam to. Byłam pewna, że należy do jakiejś organizacji, ale nie domyślałam się do jakiej. Później dowiedziałam się, że była to ta sama organizacja, w której pracowało kilka moich koleżanek. Wymogłam na nim, aby i mnie wprowadził do roboty organizacyjnej. Chodziło tu o jakieś wykłady. Było to w jesieni 1901. Pewnego dnia oświadczył mi, że mogę pójść na wykłady, co mnie bardzo ucieszyło. Zdawało mi się, że dostaję się do skrytej świątyni, do której wpuszcza się tylko wybranych. Otrzymawszy od brata instrukcje, jak się należy zachować idąc na wykłady, żeby nie wzbudzić podejrzeń, pośpieszyłam w oznaczonym czasie na Nowowiejską poza plac Zbawiciela. Dostałam się do mieszkania koleżanki Zawiślakówny. Serce biło mi młotem.

Zastałam tam około 20 osób, którzy słuchali wykładów Marji Dzierżanowskiej i jej syna, Bogdana. Po wykładach odbywały się egzaminy słuchaczów. Na późniejszym zjeździe Kilińczyków w 1922 Kazimierz Janikowski mowił o Dzierżanowskiej, ale było to ledwo słabe echo tego, czem ta kobieta była dla ruchu patrjotycznego. Robocie

niepodległościowej oddana była całą duszą i na wszystkich, którzy mieli szczęście znać ją bliżej, wywierała potężny wpływ. Gdyby taka niewiasta jak Dzierżanowska żyła w innym kraju, napewnoby zaliczono ją do najznakomitszych osobistości społeczeństwa i przeszłaby do historji jako wielka patrjotka. U nas te sprawy traktuje się jakoś lekko.

Z Dzierżanowską współpracowały Zofja Dygasińska, córka znakomitego wówczas pisarza, i Ceysingerówna. Dygasińska też była kierowniczką kompletu, do którego należałam. Wykłady odbywały się bądź w jej mieszkaniu przy Królewskiej, bądź przy Wróblej — nie pamiętam już w czyjem mieszkaniu — i przy Chmielnej 64. Gospodarzem wykładów był Kwieciński. Do kompletu należało 10 mężczyzn i tylko ja jedna kobieta. Na zakończenie semestru wykładów każdego kompletu odbywały się egzaminy, na które zawsze przychodziła Dzierżanowska. Mego egzaminu nie zapomnę do końca życia — tyle przeżyłam wówczas emocji i tak czułam się szczęśliwa.

Niebawem cała ta robota zaczęła szwankować, co stało się spowodu dłuższej choroby Ceysingerówny, która musiała przerwać akcję, a dzielna ta kobieta była duszą wszystkich grup słuchaczy. Bez niej nie można sobie było wyobrazić tej pięknej działalności oświatowej wśród młodzieży i robotników. Całe odjum roboty spadło teraz na Dzierżanowską, która i tak miała jej poddostatkiem. Tym razem wykłady odbywały się przy Złotej, w mieszkaniu Dzierżanowskiej. Zbieraliśmy się zazwyczaj w niedzielę, gdyż w ten dzień było najwięcej czasu. W mieszkaniu Dzierżanowskiej na Złotej spotykałam na wykładach koleżanki: Helenę Grabowską, młodszą Pursównę, Zawiślakównę, Olearską, Tomaszewską... Najbardziej wysunęła się spośród nas na czoło Grabowska, która kierowała dyskusjami i jej to zdawałyśmy relację o tem, co się dzieje na poszczególnych kompletach.

Razu pewnego Grabowska zakomunikowała nam, że będziemy dopuszczone do ściślejszej tajemnicy i dowiemy się o takich sprawach, o jakich dotychczas nam nie mówiono. Zapoznałam się wówczas z nielegalnemi pismami „Przegląd Wszechpolski“ i „Polak“. Wreszcie kiedyś Grabowska wtajemniczyła mnie w istnienie programu Związku im. Jana Kilińskiego. Otrzymałyśmy do opracowania temat: „Jaką powinna być polska kobieta“ i w tydzień potem, gdyśmy przyszły z wynikami naszej pracy, złożyłyśmy przysięgę i zostałam członkiem Związku. Nie były to jeszcze ostateczne formalności przyjęcia, przysięga bowiem stanowiła tylko wstęp, że tak powiem, za pierwszą zasłonę, za którą były jeszcze inne. Upłynęło jeszcze kilka tygodni, zanim, po zaznajomieniu się z programem i zdaniu egzaminu, byłam dopuszczo-

na do ściślejszego grona członków. Ostateczny mój, że tak powiem, egzamin, odbył się przy Mokotowskiej, zdaje się w mieszkaniu Juszczakowskiego. Był tam także wybitny działacz Związku Hieronim Kühn i on mnie egzaminował.

Ażeby móc się zebrać w większej liczbie, Związek organizował wycieczki poza miasto. Robiło się to w niedzielę, gdy ludzie pracy byli wolni, i pod pretekstem majówek. Pierwszą taką majówkę — pierwszą po mojem przystąpieniu do Związku — urządziliśmy w lesie wawerskim. Częściowo pojechaliśmy kolejką, częściowo pieszo i po zabawie, która była tylko pretekstem, urządzono zebranie, na którem wygłoszono kilka referatów o sprawach Związku. W kilka niedziel potem odbyła się druga taka wycieczka w Płudach.

Po wycieczce tej zostałam dziesiętniczką kółka, do którego wstąpiły: moja siostra Helena, Ludwika Wiśniewska, Katarzyna Brochowska, dwie siostry Chmurskie i kilka innych koleżanek, których nazwisk nie pamiętam. Kółko to w komplecie uczęszczało na wykłady Uniwersytetu Ludowego. Z jakiemi trudnościami musiano się porać przy wykładach, niech świadczy fakt, że — pamiętam taki wykład — wykresy robiło się na drzwiach szafy, dyktando zaś pisało się na stołkach, gdyż przy stole nie wszyscy mogli się pomieścić. Mnie najczęściej używano do czatów w bramie, ażeby, wrazie grożącego niebezpieczeństwa, ostrzec zebranych.

Zaczęła się wreszcie praca oświatowa wśród robotników na szerszą skalę. Był to początek 1904. Zostałam wkrótce bibljotekarką. Bibljoteka składała się z około 30 tomów. Książki wydawałam dwa razy tygodniowo dziesiętniczkom. Były to, rzecz oczywista, książki nielegalne.

Nadeszły gorące czasy walki narodowców z socjalistami o wpływy wśród robotników, pracowałam wówczas trochę przy organizacji związku zawodowego pracownic igły, ale ta praca mniej mi odpowiadała i znowu wróciłam do działalności oświatowej. Uniwersytet Ludowy został przez władze zamknięty, Marji Dzierżanowskiej polecono opuścić Warszawę, praca nasza jednak trwała nadal — pracowałyśmy ze zdwojoną energją pod kierunkiem Ceysingerówny, aż wreszcie nadeszły inne czasy — czasy wielkiej wojny — i życie publiczne zmieniło się zupełnie.

Michał Kosiorek

# Skład bibuły w Warszawie

Poraz pierwszy spotkałem się z nielegalnem pismem w 1903. Było to w pierwszych dniach maja w ogrodzie Botanicznym. Podszedł do mnie jakiś student i wsunął mi do ręki „Polaka“, mówiąc, ażebym przeczytał w domu i oddał komuś ze swych znajomych. Dodał przytem, że w miejscu publicznem nie powinienem tego czytać, bo jest to niebezpieczne. Student szybko się potem ode mnie oddalił. Byłem niezmiernie zdziwiony postępowaniem nieznanego mi studenta, boć przecież nie znaliśmy się... Ale pomyślałem potem, że student ów musiał mnie już oddawna mieć na oku, do ogrodu Botanicznego bowiem chodziłem dość często, a miejsce to znane było patrjotycznej części ludności warszawskiej z częstych tam manifestacyj, zwłaszcza w miesiącu maju.

Po przeczytaniu „Polaka“, którego treść wywarła na mnie wielkie wrażenie, puściłem go dalej w kurs i egzemplarz ten więcej do mnie nie wrócił. Marzyłem odtąd o dotarciu do potajemnej organizacji patrjotycznej, gdyż nielegalna praca dla Polski pociągała mnie. Przez dłuższy czas nie udawało mi się dopiąć celu. Dopiero w kwietniu 1905 poznałem się z Kazimierzem Skubikowskim, który wręczył mi odezwę narodową i niebawem też zwierzył się przede mną, że pracuje w patrjotycznej organizacji. Zrazu jako sympatyk pomagałem Skubikowskiemu w kolportowaniu nielegalnych wydawnictw, a potem kiedyś zaprowadził mnie na pierwsze tajne zebranie, na którem dowiedziałem się o celach i zadaniach N. Z. R.

Po jakimś czasie, gdy w liczbie kilkunastu młodych ludzi dostatecznie byliśmy przygotowani do roboty organizacyjnej, zebrano nas w mieszkaniu rodziców Czesława Barcza przy ul. Świętojańskiej 15, gdzie kol. Sobolewski przyjął od nas przysięgę i zostałem członkiem kółka kol. Przybyły. Po zaprzysiężeniu zbieraliśmy się raz na tydzień w różnych mieszkaniach prywatnych na czytanki i pogadanki z zakresu prac organizacyjnych, oraz zapoznawaliśmy się z programem N. Z. R. W lecie odbywały się wycieczki do podmiejskich okolic, gdzie zbierało się w lasach po sto do dwustu ludzi. Wygłaszano tam zwykle kilka przemówień propagandowych, młodzież zaś odbywała ćwiczenia sportowe i wojskowe. Były to wycieczki konspiracyjne, o miejscu ich odbycia dowiadywaliśmy się w przeddzień od swoich dziesiętników, jak również podawano nam hasła, które po dostaniu się na wyznaczone stacje kolejowe czy kolejkowe, trzeba było poda-

wać rozstawionym po drodze kolegom, ci zaś wskazywali nam kierunek do punktu zbiórki.

Niekiedy w dnie świąteczne zbieraliśmy się w kościele św. Krzyża na Krakowskiem Przedmieściu, lub w kościele św. Augustyna przy ul. Dzielnej i zgrupowani w różnych punktach kościoła, śpiewaliśmy „Boże coś Polskę“, co nie zawsze było mile widziane przez duchowieństwo. Najczęściej śpiewaliśmy dopiero po odejściu księdza od ołtarza, ale gdy kiedyś rozległ się w kościele śpiew zakazany zaraz po kazaniu, ksiądz na ambonie oburzył się i polecił „buntownikom“ wyjść ze świątyni. Rzecz oczywista, że nikt rozkazu nie posłuchał i dośpiewaliśmy pieśń do końca. Co bojaźliwsi, a tych było zawsze bardzo dużo, ze strachu pośpiesznie wychodzili z kościoła, albo odsuwali się od nas przezornie. Sczasem jednak tych bojaźliwych było coraz mniej, aż nadszedł dzień 5 listopada 1905 i wtedy już tylko niewierzący w Polskę pozostali w domu. Cała narodowa Warszawa wzięła udział w pochodzie i śpiewała pieśni, od których tak niedawno jeszcze bojaźliwie stroniła.



Michał Kosiorek

Mniej więcej w połowie listopada kol. Skubikowski zawiadomił mnie, ażebym udał się na ul. Złotą 8. Udałem się pod wskazany adres i zastałem tam kilku znanych mi z widzenia na wycieczkach mówców. Jeden z nich, Gustaw Simon, wyjaśnił mi, że zostałem wezwany dla ważnej misji: polecono mi prowadzenie głównego składu bibuły i broni. Propozycję przyjąłem bez wahania, lecz do dziś dnia nie wiem, dlaczego tak ważną funkcję organizacyjną powierzono mnie, 17-letniemu wówczas młodzieńcowi, a nie komuś ze starszych kolegów. Byłem zresztą członkiem partji zaledwie od kilku miesięcy.

Zameldowałem się przy Złotej 8 w lokalu, który już zgóry przeznaczony był na skład bibuły. Lokal ten posiadał dwa pokoje z kuchnią. Gromadziło się tam stale całe stosy różnych wydawnictw nielegalnych, jak „Pochodnia“, „Kiliński“, „Polak“ i najrozmaitsze odezwy, masowo w owe czasy drukowane i kolportowane w celach agitacyjnych i w związku z ruchem strajkowym szkolnym, gdyż wszelkie funkcje kolportażowe i terorystyczne wykonywane były przez członków N. Z. R. Meble w pokojach były skromne: stół, kilka ławek i otomana. Było to obliczone na ewentualną wsypę. W lokalu tym od-

bywały się również zebrania Zarządu Głównego N. Z. R. Widywałem tam na zebraniach: Gustawa Simona, Edwarda Pepłowskiego, Przemysława Podgórskiego, Mieczysława Bujalskiego, Marję Dzierżanowską, Edmunda Bernatowicza i Jana Karola Szczeblewskiego.

Ekspedycja bibuły na prowincję odbywała się pocztą, bagażem towarowym i bagażem pośpiesznym, w zależności od potrzeby. Bibuła szła w drogę jako towar łokciowy, opakowany w płótno lub rogoże. Ekspedycję załatwiał posłaniec, członek N. Z. R. Nazwiska jego nie pamiętam.

Przy Złotej mieszkałem kilka miesięcy i zmuszony byłem potem wyprowadzić się, bowiem w tym samym domu, w oficynie naprzeciw nas, mieli swój skład Socjaldemokraci, o czem dowiedzieliśmy się dopiero w kilka miesięcy potem i natychmiast, po dowiedzeniu się o tem, musiałem się wyprowadzać, dom ten bowiem stał się już podwójnie niebezpieczny.

Nowy skład urządziliśmy na Widok 21, gdzie mieszkałem trzema powrotami. Za trzecim razem musiałem wkrótce zlikwidować skład, i to poraz ostatni, gdyż i tutaj spotkaliśmy się z socjalistami, tym razem z pepesowcami, którzy w tym samym domu posiadali skład bibuły. Można byłoby z tego wnioskować, że niektóre domy w Warszawie były jakby przez sam los predystynowane na tajne składy nielegalnych wydawnictw.

Kiedyś jadąc tramwajem ulicą Wileńską, dostałem się przypadkiem do cyrkułu. Stało się to wskutek zbiorowej bójki kilku osobników w tramwaju. Strażnicy dla wyjaśnienia sprawy prawie wszystkich pasażerów poprowadzili do cyrkułu 14-go. W tym samym czasie przejeżdżał tamtędy na rowerze mój brat, który widząc, że zostałem aresztowany, zawiadomił natychmiast kol. Simona i obaj z moim bratem pośpieszyli do mego mieszkania w celu usunięcia stamtąd bibuły i broni. Klucz znajdował się u dozorcy, który był częściowo wtajemniczony w to, co się w mem mieszkaniu działo. Ale dozorca, mimo że tak mego brata, jak i kol. Simona znał dobrze, klucza im nie wydał.

Po wyjaśnieniu w cyrkule, że nic mnie z bójką w tramwaju nie łączyło, zostałem zwolniony. Wróciłem do domu, odebrałem klucz od dozorcy, który nic mi nie powiedział o tem co zaszło podczas mojej nieobecności. Jakież było moje zdziwienie, gdy mieszkanie zastałem uprzątnięte z bibuły i broni. Zwróciłem się do dozorcy z żądaniem wyjaśnienia, a dozorca z triumfującą miną i uśmiechem odparł: „Rewolwery są u baby w sienniku, a papiery w piwnicy. Wyniosłem wszystko, bo jak mi brat pański powiedział, że pana aresztowali, tom

się bał rewizji". Okazało się, że dozorca nie chciał narażać inne osoby na niebezpieczeństwo i sam wszystko usunął.

Któregoś dnia w ostatnich dniach kwietnia 1907 podjechałem dorożką pod bramę domu, wioząc paczki z odezwami 3-majowemi. Buda była podniesiona, gdyż padał deszcz, więc nie mogłem zdala zauważyć co działo się przed bramą, żeby przejechać dalej i uniknąć niebezpieczeństwa. A przed bramą stał stójkowy i jednocześnie zajechała inna dorożka, z której wysiadł prystaw I cyrkułu. Ale stało się i niepodobna było się cofać.

Nie tracąc zimnej krwi, zapłaciłem dorożkarzowi za jazdę i wolno z dwiema paczkami skierowałem się na schody. Odezw było 5.000. Przeszedłem obok stójkowego i znalazłem się na schodach, gdzie zacząłem przemyśliwać, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, byłem bowiem przekonany, że policja do mnie przyjechała. Ale okazało się, że nastąpiła wsypa składu P. P. S., mieszczącego się w oficynie na tej samej posesji, o czem teraz dopiero się dowiedziałem. Oczywiście tego samego jeszcze dnia wyprowadziłem się gdzieindziej.

Nowy skład otworzyliśmy na Nowogrodzkiej 27, ale w obawie, że policja zainteresuje się moją osobą po nagłem wprowadzeniu się z ul. Widok, gdzie wsypali się pepesowcy, zameldowałem się w nowym lokalu pod przybranem nazwiskiem. Odtąd nazywałem się różnie: Jan Halucha, Stanisław Ryś, albo Zygmunt Jakubowski — zawsze jako obywatel austrjacki.

Broń przechowywałem teraz już nie w swojem mieszkaniu, gdzie znajdował się skład bibuły, ale w piwnicach hurtowego składu win Wacława Rago przy Nowosenatorskiej 6.

Na Nowogrodzkiej mieszkałem krótko, były tam bowiem nieodpowiednie warunki lokalowe. Skład mieścił się w jednej izbie na t. zw. kawalerce, dokąd przychodziło dużo ludzi i łatwo można było się zdradzić, obawiałem się przytem sprzątającego, który był bardzo ciekawy, skutkiem czego nie pozwalałem mu sprzątać — mógł bowiem łatwo podczas mojej nieobecności dostać się do mieszkania.

Ostatecznie zdecydowano zmianę lokalu, gdyż w dniu 29 września, jako w dniu moich imienin, otrzymałem kilka powinszowań. Pomimo, że na kopertach figurowało moje nazwisko przybrane, ale nie zgadzały się imiona i częściowo się zdekonspirowałem.

Wyprowadziłem się na Wilczą 30 i mieszkałem przy sklepie spożywczym, którego właścicielem był enzeterowiec. Nazwiska jego nie pamiętam, gdyż i tutaj nie długo popasałem. Przy tym sklepie w piwnicy kol. Józef Wasilewski drukował bibułę, o czem nie wiedziałem i zdaje się, że ta drukarnia była powodem wsypy składu.

Pewnego dnia rankiem idąc do składu, zauważyłem drzwi ze sklepu zamknięte, choć była to pora, że wszystkie sklepy były już otwarte. Rychło zorjentowałem się co mogło być przyczyną zamknięcia i obojętnie przeszedłem po drugiej stronie ulicy. Ostrożność była uzasadniona, gdyż po dojściu do Marszałkowskiej spotkałem na czatach kolegę, który mi oznajmił, że nastąpiła wsypa składu i drukarni. W bramie i przed sklepem czatowali szpicle, skutkiem czego kilka osób zostało aresztowanych. Właściciel sklepu w chwili przybycia do sklepu policji uciekł przez tylne wyjście i był następnie przez partję wysłany do Krakowa. Żona jego przebyła z dzieckiem przez dłuższy czas w więzieniu.

Lokal sklepowy znajdował się pod obserwacją szpiclów przez kilka dni, lecz nikt więcej się nie wsypał. Jak przed sklepem czuwali szpicle, tak znowu w pewnem oddaleniu krążyli po ulicy nasi koledzy i ostrzegali idących do składu po bibułę.

Ostatnio składy prowadziłem przy ul. Wareckiej 10 i Żórawiej 16. Ale w 1908 przekazałem skład kol. Stanisławowi Kotowskiemu. Kotowski zarządzał jeszcze składem bibuły przy Nowogrodzkiej 33, lecz tam się wsypał. Sam jednak zdołał uciec, unikając tym sposobem aresztowania. Wysłany był następnie przez partję do Krakowa. Wyjechał potem do Francji. Ja jeszcze w ciągu dwu lat dorywczo zajmowałem się ekspedycją, lecz składem zarządzał już kto inny.

Po wydrukowaniu jednego z wydawanych przez N. Z. R. pism, z kolegą Wasilewskim przewoziliśmy bibułę do mego brata na Nowosenatorską 6, stamtąd zaś wszystko było w ciągu dwu dni rozesłane do miejsc przeznaczenia.

Drukowanie bibuły odbywało się między innemi przy Marszałkowskiej 113 (dom przejściowy na Zielną 8) i przy Nowym Świecie 22. Był jednak okres, gdy w Warszawie drukować nie było można i zostałem wysłany z matrycami „Pochodni“ do Dąbrowy Górniczej, gdzie inż. Hoffman miał mi ułatwić wydrukowanie. Lecz i tam było ciasno i zmuszony byłem wracać z ciężkiemi, ważącemi około 30 kg. matrycami, zwiniętemi w papier.

Wychodząc z pociągu na dworcu Wiedeńskim, musiałem nadrabiać miną i nie zdradzić ciężaru w tak małych paczkach. Na dworcu kręciło się wielu żandarmów i szpiclów, którzy obserwowali przyjezdnych i wyjeżdżających. Ale wydostałem się jakoś szczęśliwie z dworca i w kilka dni potem „Pochodnia“ została wydrukowana w Warszawie.

O mojej funkcji w partji wiedział tylko Zarz. Gł. N. Z. R. i adres mój był znany jedynie dzielnicowym czyli t. zw. setnikom. Mimo ta-

kiej konspiracji zachodziła niekiedy konieczność wysyłania mnie dość często na prowincję z większymi transportami bibuły.

Razu jednego wysłano mnie do Sosnowca w celu przywiezienia stamtąd transportu broni w ilości 50 rewolwerów. Broń ta została przemycona przez granicę. Sprawę rewolwerów załatwiałem w Sosnowcu z Aleksandrem Mikulińskim, wybitnym działaczem enzeterowskim, który był także przez jakiś czas członkiem Zarządu Głównego.

Rewolwery w niedużej skrzynce nadane były przez miejscowych kolejarzy enzeterowców na bagaż. Kwit wręczono mi dopiero na stacji w Ząbkowicach. Oddał mi go kolejarz, który poznał mnie po umówionym znaku.

Nie pojechałem wprost do Warszawy, było to bowiem bardzo ryzykowne, lecz zatrzymałem się w Pruszkowie u kol. Stanisława Zielińskiego, a stamtąd zabrał broń piekarz z Woli, Kamiński, i przywiózł furgonem do Warszawy.

W 1910 powołano mnie do wojska i praca moja w N. Z. R. na gruncie Warszawy skończyła się. Nie zerwałem jednak z organizacją łączności i służąc w Niżnim Nowgorodzie w pułku, w którym znajdowało się 40 procent Polaków, otrzymywałem bibułę i kolportowałem ją w koszarach między rodakami. Zasilałem również bibułą i bibljotekę miejscowej kolonji polskiej.

# OD REDAKCJI

**Prosimy wszystkich dawnych enzeterowców i kilińczyków, jak również te osoby, które mogłyby czy to swojemi wspomnieniami, czy jakiemikolwiek wiadomościami z działalności N.Z.R. przyczynić się do wzbogacenia historji narodowego ruchu robotniczego z czasów caratu i wojny, ażeby łaskawie wspomnienia te lub wiadomości nadsyłali redakcji „Kilińskiego". Nie zataimy nic co tyczy przeszłości tego ruchu, bez względu na charakter wiadomości, czy opisów lub wspomnień, chodzi nam bowiem o możliwie najrzetelniejsze odzwierciadlenie narodowego ruchu robotniczego. Zdajemy sobie doskonale sprawę, że nie wszyscy dawni enzeterowcy bądą mogli wypisać się dostatecznie, N.Z.R. był bowiem partją robotniczą, a robotnicy przecież, nawet w Polsce niepodległej nie zdobyli tyle nauki, ażeby umieli na papier przelać swoje uczucia, swe myśli, ażeby mogli odtworzyć dzisiaj w słowach to wszystko co było ongiś tak bliskie i wielkie ich sercu. To też prosimy tych kolegów robociarzy, którzy mają coś do powiedzenia o sobie, a nie mają odwagi pisać, ażeby zwracali się do redakcji czy bezpośrednio, czy przez Stowarzyszenie Kil. i Enz. w celu porozumienia sią, a redakcja postara się pomóc im w pracy i pracę tę umieści na łamach „Kilińskiego". Jeśli sądzić z dotychczas zebranego materjału, to sprawa przedstawia się dodatnio i prace dostarczane przez robotników mógłyby niekiedy pokusić się o rywalizację z pracami ludzi wykształconych. Trzeba tylko chcieć.**



Delegaci i goście 2-go Zjazdu Stowarzyszenia Kilińczyków i Enzeterowców

# Z Życia Stowarzyszenia

### Krótkie sprawozdanie z 2-go Zjazdu delegatów Stowarzyszenia Kilińczyków i Enzeterowców

Dnia 29 czerwca 1935 odbył się w Warszawie 2-gi Zjazd Delegatów oddziałów Stowarzyszenia Kilińczyków i Enzeterowców, z zachowaniem przpisów przewidzianych w par. 11 i 12 statutu, w lokalu oddziału warszawskiego, Nalewki 8. Porządek dzienny:

1) ukonstytuowanie się Zjazdu,

2) sprawozdanie Zarządu Głównego,

3) sprawozdania poszczególnych oddziałów,

4) wnioski oddziałów,

5) uchwalenie regulaminu dla zarządów oddziałów,

6) uchwalenie preliminarza budżetowego na okres od 1 lipca 1935 do 31 grudnia 1936,

7) wnioski zgłoszone na Zjazd,

8) wybory Władz Naczelnych Stowarzyszenia i

9) wolne wnioski.

Zjazd zagaił prezes Zarz. Gł. kol. Stanisław Nowicki, który na wstępie powitał delegatów oddziałów i zaproszonych gości, poczem wygłosił krótkie przemówienie i zarządził sprawdzenie pełnomocnictw.

Jako delegaci w Zjeździe brali udział: oddział Warszawa: Jan Tołwiński, Stanisław Nowicki, Franciszek Szczeblewski, Felicja Konopska, Józef Kuzdraj, Wacław Strzelecki, Stanisław Roszkowski, Tomasz Baltosiuk — reprezentowali 202 członków; oddział Łódź: Maksymiljan Brzeziński, Józef Zubert, Józef Antoniewski, Henryk Miszkiewicz, Błażej Pokorski, Ignacy Jędraszczyk — reprezentowali 286 członków; oddział Pabjanice: Witold Eichler, Konrad Skowroński, Jan Gertner, Konstanty Janiszewski, Andrzej Portych — reprezentowali 105 członków; oddział Zgierz: Józef Żywiecki — repr. 42 członków; oddział Ozorków: Ludwik Kazimierski — repr. 39 czł.; oddział Tomaszów Mazowiecki: Wincenty Głowa, Józef Midera i Franciszek Fajfer — repr. 132 czł.; oddział Żyrardów: Gabryel Solecki i Wilhelm Myszkowski — repr 46 czł.; oddział Zduńska Wola: Józef Kiełbik i Lucjan Neugebauer — repr. 52 czł.; oddział Radom: Stefan Majewski — repr. 24 czł.; oddział

Siedlce: Adam Wyrzykowski — repr. 18 czł.; oddział Kielce: Stanisław Buras — repr. 27 czł., oraz Karolina Zwolińska i Ludwik Piętka z Warszawy, reprezentujący 31 członków zamieszkałych w rozproszeniu w różnych miejscowościach.

Pozatem w Zjeździe brali udział w charakterze gości: Zenon Marcinkowski i Władysław Strzembalski z Radomia, Franciszek Cichocki z Kobrynia, Antoni Zając z Pabjanic, Erazm Samborski z Poznania, Józef Rozwens z Siedlec, Ludwik Zaborowski i Karol Michalski z Żyrardowa, oraz z Warszawy: Józef Jatczyk, Aleksandra Witkowska, Mieczysław Bujalski, Władysław Woźniak, Juljan Giernatowski, Ujazdowski, Karol Lange, Edward Szychowski, Stanisław Białecki, Adam Fuks, Wacław Tomaszewski, Lubomir Tomaszewski, Zenobja Sykulska, Lucyna Tomaszewska i Markuszewska.

Na przewodniczącego Zjazd powołał Józefa Zuberta z Łodzi, który ze swej strony zaprosił do stołu prezydjalnego na asesorów Stanisława Burasa z Kielc i Karola Michalskiego z Żyrardowa, oraz do protokułowania obrad Felicję Konopską z Warszawy.

Na wstępie Zjazd uczcił przez powstanie pamięć zmarłego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, następnie pamięć wszystkich straconych, poległych i zmarłych kilińczyków i enzeterowców.

Dotychczasowy skład Zarz. Gł. stanowili: Stanisław Nowicki — prezes; Ludwik Piętka — wice-prezes; Franciszek Szczeblewski — sekretarz; Józef Kuzdraj — skarbnik; Lubomir Tomaszewski — protokulant; Stanisław Sobieszczański — archiwista dokumentów; Karolina Zwolińska—archiwistka kwestjonarjuszy członkowskich. Nadto w pracach Zarz. Gł. brali udział: Józef Jatczyk — sprawy wydawnicze; Felicja Konopska — sekretarjat Komisji Historycznej oraz członkowie oddziału warszawskiego: Jan Tołwiński, Zenobja Sykulska i Juljan Giernatowski, niekiedy uczestniczyli w obradach koledzy z prowincji.

W okresie sprawozdawczym odbyło się 45 zebrań oficjalnych, niezależnie od obrad prezydjum w sprawach nagłych. Ponadto odbyło się kilka zebrań Komisji Historycznej w Warszawie i w Łodzi. W ostatnich dniach przed zwołaniem Zjazdu powstała w Sosnowcu Komisja Organizacyjna w celu powołania do życia oddziału.

Zjazd sprawozdanie Zarz. Gł. zatwierdził.

Nie będziemy tu omawiali przebiegu obrad Zjazdu, zajęłoby to nam bowiem wiele drogiego miejsca, a koledzy wszyscy zapewne wysłuchali sprawozdań ze Zjazdu swych delegatów i wiedzą jakie sprawy były omawiane, a były to sprawy obchodzące wyłącznie członków Stowarzyszenia. Jeśli chodzi o sprawy natury ogólniejszej, a związanej z życiem Stowarzyszenia, będziemy je w miarę możności podawali do

wiadomości w kronice „Kilińskiego". Tu jeszcze należy podać skład nowego Zarządu Głównego, wybranego przez aklamację.

Na prezesa powołano ponownie Stanisława Nowickiego z Warszawy; na sekretarza również ponownie Franciszka Szczeblewskiego. Ponadto wybrani zostali: Maksymiljan Brzeziński z Łodzi, Franciszek Fajfer z Tomaszowa Mazowieckiego, Wiktor Eichler z Pabjanic, oraz z Warszawy: Józef Kuzdraj, Karolina Zwolińska, Józef Jatczyk i Ludwik Piętka. Na zastępców do Zarz. Gł. powołani zostali: Stanisław Sobieszczański, Karol Lange i Jan Tołwiński, wszyscy z Warszawy. Do Komisji Rewizyjnej: Józef Zubert z Łodzi, oraz Bolesław Czechowicz i Józef Bugajski z Warszawy; na zastępców czł. Kom. Rew.: Ludwik Kazimierski z Ozorkowa i Stanisław Buras z Kielc.

Po Zjeździe odbył się obiad koleżeński, podczas którego prezes przedstawił kolegom jubileuszowy, na pamiątkę 30-lecia powstania N. Z. R. wydany numer „Kilińskiego".

## Zjazd jubileuszowy w Łodzi

Dnia 21 lipca 1935 odbył się w Łodzi przy ul. 11 listopada 21 w wielkiej sali „Domu Śpiewaków" Zjazd b. członków N. Z. R. i Kilińczyków.. Szczupłość miejsca nie pozwala nam na szczegółowy opis uroczystości zjazdowych i dlatego ograniczymy się do krótkiego streszczenia przebiegu Zjazdu.

Na Zjazd przybyły wszystkie oddziały Stowarzyszenia ze sztandarami i liczni dawni enzeterowcy z różnych stron kraju, Uroczystości rozpoczęły się od pochodu przez miasto do Katedry. W pochodzie niesiono kilkanaście dawnych, dziś już historycznych sztandarów enzeterowskich. Po przybyciu do Katedry odbyło się nabożeństwo, na którem wygłosił okolicznościowe kazanie ks. prałat Wacław Wyrzykowski, sympatyk N. Z. R.

Po nabożeństwie pochód miał wrócić na ul. 11 listopada, ale przeszkodził temu huragan i trzeba było z tej części uroczystości zrezygnować. Ludzie przemoknięci do nitki wrócili jak kto mógł do sali zjazdowej i przystąpiono do otwarcia Zjazdu. Wieńce na płycie Nieznanego Żołnierza, przed pomnikiem Kościuszki i na mogile poległych w 1905 na Polesiu Konstantynowskim złożono wskutek burzy, nie jak projektowano podczas pochodu, lecz uczyniono to oddzielnie przez specjalnie wysłane delegacje.

Zjazd zagaił prezes łódzkiego oddziału Stow. kol. Maksymiljan Brzeziński, streszczając w krótkich słowach dzieje N. Z. R., poczem zaznaczył, że celem Zjazdu jest a) uczczenie poległych, pomordowanych i straconych oraz zmarłych Enzeterowców, którzy wierzyli w osiągal-

ność niepodległości Polski przez walkę i walkę tą stwierdzali czynem w szeregach N. Z. R.; b) przypomnienie społeczeństwu szczytnej roli, jaką w walce o niepodległość i sprawiedliwość społeczną odegrał budziciel ducha narodowego w masach robotniczych N. Z. R. i c) zbratanie wszystkich dawnych kolegów bez względu na to w jakim obecnie kierunku społecznym czy politycznym współpracują lub sympatyzują. Jako otwierający Zjazd i gospodarz powitał przybyłe władze, Zarz. Gł. Stow. Kil. i Enz., delegacje wszystkich oddziałów i pojedyńczych członków oraz wszystkich uczestników Zjazdu.

Przewodniczącym Zjazdu został prezes Zarz. Gł. Stow. kol. Stanisław Nowicki, który ze swej strony zaprosił na asesorów honorowych kolegów: Karola Langego z Warszawy, Wilhelma Moszkowskiego z Żyrardowa, Stanisława Burasa z Kielc i Pawła Urbaniaka z Łodzi, na sekretarza Józefa Jatczyka z Warszawy.

Po ukonstytuowaniu się prezydjum przewodniczący wezwał Zjazd do uczczenia pamięci i oddania hołdu Twórcy armji polskiej ś. p. Marszałkowi Polski Józefowi Piłsudskiemu przez powstanie i jednominutową ciszę; przez powstanie również uczczono pamięć nieżyjących już enzeterowców bojowców N. Z. R. Następnie sekretarz odczytał treść depeszy hołdowniczej do Prezydenta Rzeczypospolitej, co zebrani przyjęli oklaskami i wzniesieniem okrzyku na cześć Głowy Państwa. Orkiestra odegrała hymn narodowy.

Referat o działalności niepodległościowej N. Z. R. wygłosił kol. Ludwik Waszkiewicz, poczem sekretarz Zjazdu odczytał liczne depesze przysłane na Zjazd przez b. enzeterowców i kilińczyków, którzy z różnych przyczyn na Zjazd nie przybyli.

Nastąpiło wpisywanie się do księgi pamiątkowej i przerwa obiadowa.

Po przerwie obiadowej o godz. 17.30 otwarto akademję, którą rozpoczął krótkiem przemówieniem kol. Brzeziński, poczem ze względu, że część delegacji musiała wyjeżdżać przed ukończeniem uroczystości, przesunięto ostatni punkt programu: odczytanie rezolucji na początek akademji. Sekretarz odczytał rezolucję, której treść wzięta została z memorjału złożonego przez Stowarzyszenie Panu Premjerowi i wydrukowana jest w jubileuszowym numerze „Kilińskiego". Rezolucja została gorąco oklaskiwana.

Chór pod batutą p. Józefa Wolczyńskiego odśpiewał kilka pieśni i odbył się koncert muzyczny, oraz wygłosił kilka deklamacyj art. Teatru Miejskiego p. Szletyński. Wygłoszone zostały jeszcze dwa referaty: przez kol. Wacława Wojewódzkiego o masowym ruchu N. Z, R., ze

specjalnem uwzględnieniem tego ruchu w Łodzi i przez kol. Stanisława Roszkowskiego z Warszawy o działalności Związku im. Jana Kilińskiego.

O godz. 20 Zjazd został zamknięty.

## Otwarcie oddziału w Sosnowcu

W niedzielę 8 grudnia 1935 odbyło się w Sosnowcu zebranie członków Stow. Kil. i Enz. zwołane przez Komisję Organizacyjną w celu powołania do życia oddziału. Na zebranie to przyjechał z Warszawy kol. Jatczyk jako delegat Zarz. Gł. Po zaznajomieniu się zebranych z dotychczasową działalnością Stow. i omówieniu jego przyszłych, będących w projekcie zadań, odbyły się wybory władz oddziału. Na prezesa oddziału wybrano przez aklamację kol. Józefa Drzewieckiego. Do zarządu weszli pozatem: Jan Piszczyk, Michał Wolny oraz Józef i Michał Kwiatkowscy. Jest to już trzynasty skolei oddział Stowarzyszenia.

## Akademja 30-lecia N. Z. R. w Warszawie

W celu przypomnienia sobie dawnych, pełnych pracy i poświęcenia dla idei dni, Zarząd oddziału warszawskiego Stowarzyszenia zorganizował akademję, która odbyła się w lokalu oddziału Stowarzyszenia na Nalewkach 8. Przybyło wielu dawnych działaczy enzeterowskich i kilińczyków. Nastrój panował serdeczny i koleżeński.

Akademję zagaił prezes oddziału kol. Tołwiński krótkiem, ale mocnem w treści przemówieniem, nagrodzonem oklaskami, poczem kol. Jatczyk wygłosił prelekcję o powstaniu i działalności N. Z. R. Po odczycie nastąpiła wokalno-muzyczna część programu, którą wypełnili przeważnie członkowie Stow. lub młodzież — członkowie rodzin stowarzyszonych.

## Nabożeństwo żałobne

Dnia 10 listopada 1935 o godz. 10 rano w kościele św. Krzyża na Krakowskiem Przedmieściu staraniem oddziału warszawskiego Stow. odbyło się nabożeństwo za dusze poległych, straconych, pomordowanych i zmarłych członków N. Z. R. i kilińczyków. Podczas nabożeństwa chór tegoż kościoła odśpiewał pienia religijne.

# ODPOWIEDZI REDAKCJI

**Kol. Janowi Posiakowi w Łodzi.** Za pracę Waszą — opis Dzielnicy Górnej w Łodzi — serdecznie dziękujemy, skorzystamy z niej w jednym z najbliższych numerów „Kilińskiego”. Zaznaczamy jednak, że rozbijamy ją na dwie części i dlatego się nie zrażajcie, jeśli nie odrazu wszystko umieścimy.

**Kol. Adamowi Wyrzykowskiemu w Siedlcach** Opis Wasz o życiu i działalności N. Z. R., w Siedlcach otrzymaliśmy. Praca Wasza zawiera dużo materjału o charakterze ogólnikowym, za mało jest w niej faktów. Prosimy o uzupełnienie, albo porozumienie się z redakcją podczas najbliższej Waszej bytności w Warszawie.

**Oddziałowi w Pabjanicach.** W numerze 2-im „Kilińskiego” zamierzamy dać opis z życia i działalności N. Z. R. w Pabjanicach. Dotychczas posiadany przez redakcję nadesłany przez Was materjał, jest dość bogaty, ale niedostateczny do całkowitego scharakteryzowania narodowego ruchu robotniczego w Waszem mieście. Redakcja przygotowała dla Was notatki, z któremi należałoby się Wam zapoznać i potrzebne dane uzupełnić dodatkowemi opisami.

**Kol. Burasowi w Kielcach.** Dotychczas nie odpowiedzieliście na list pisany do Was przez Komisję Historyczną stowarzyszenia, wskutek czego nie mogliśmy w Nr. 1 „Kilińskiego” dać zamieszczonego wiado nego Wam opisu. Prosimy o możliwie szybkie porozumienie się z redakcją lub z Zarz. Gł. Stow.

**Kol. Jakubowskiemu w Zgierzu.** Został już opracowany i przygotowany do druku Wasz pamiętnik. Praca Wasza jest dobra, ale traktuje sprawy N. Z. R. w Zgierzu zbyt subjektywnie, za mało jest tam treści o całokształcie dziejów N. Z. R. w Zgierzu. Możebyście podjęli próbę opisania wszystkiego tego co tyczyło całego N. Z. R. w Zgierzu.

**Kol. Myszkowskiemu w Żyrardowie.** Wyraziliście ustną zgodę na opisanie wiadomej Wam działalności N. Z. R. w Zagłębiu. Przypominamy Wam o tem zapytując jednocześnie jak się Wasza praca przedstawia.

**Kol. Jędraszczykowi w Łodzi.** Praca Wasza jest przygotowana do druku i ukaże się w jednym z najbliższych numerów „Kilińskiego”

Redaktor odpowiedzialny: STANISŁAW NOWICKI

Administracja: Jerozolimska 21 m. 26

Redakcja: Sosnowa 13 m. 11 tel. 224-75

Wydawca: Zarząd Główny Stowarzyszenia Kilińczyków i Enzeterowców

Zakł. Graf. „Drukarnia Bankowa”, Warszawa, Moniuszki 11.

„DRUKARNIA BANKOWA", W-WA, MONIUSZKI 11.